

**ADAM SZCZERBOWSKI
WSPÓŁCZESNA
POEZJA POLSKA**

1915 | 1935

**ANTOLOGIA POETYCKA
WARSZAWA--ZAMOŚĆ**

1936

KSIAŻNICA LITERACKA
TOM I.

5816/42

WSPÓŁCZESNA
POEZJA POLSKA
1915 – 1935
ANTOLOGIA POETYCKA
OPRACOWAŁ
ADAM SZCZERBOWSKI

GIMN. PAŃSTW. z RUSKIM JĘZ. NAUCZANIA
w Przemyślu
Biblioteka *Kauczyński* nizsze
wyższe
Dz. XV Nr. _____

3799



KOŁO MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI
SKŁAD W KSIĘGARNI L. KAPICKIEGO W ZAMOŚCIU
WARSZAWA – ZAMOŚĆ 1936

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 41962



BGZs 41962



szk. 884-1

41962

884-1 (0222)

ANTOLOGIA POETYCKA

CZĘŚĆ PIERWSZA

EDWARD SŁOŃSKI

TA, CO NIE ZGINEŁA...

1.

Rozdzielił nas, mój bracie,
zły los i trzyma straż —
w dwóch wrogich sobie szańcach
patrzymy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku,
wysłuchani w armat huk,
stoimy nawprost siebie —
ja — wróg twój, ty — mój wróg!

Las płacze, ziemia płacze,
świat cały w ogniu drży...
W dwóch wrogich sobie szańcach
stoimy ja i ty.

2.

Zaledwie wczesnym rankiem
armaty zaczną grać,
ty świstem kul morderczym
o sobie dajesz znać.

Na nasze niskie szańce
szrapnelów rzucasz grad

i wołasz mnie i mówisz:
To ja, twój brat... twój brat!

Las płacze, ziemia płacze,
w pożarach stoi świat,
a ty wciąż mówisz do mnie:
To ja, twój brat... twój brat!

3.

O nie myśl o mnie, bracie,
w śmiertelny idąc bój,
i w ogniu moich strzałów,
jak rycerz mężnie stój!

A gdy mnie zdała ujrzysz,
odrazu bierz na cel
i do polskiego serca
moskiewską kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że TA, CO NIE ZGINEŁA,
wyrośnie z naszej krwi.

JUŻ JA WIDZIELI IDĄCĄ...

Już Ja widzieli idącą
żołnierze nasi w okopach —
koronę miała na głowie
i krew zakrzepłą na stopach.

Już Ja widzieli idącą
w przedśmiertnych swoich tęsknotach
ci, którzy z ran umierali
w poleskich borach i błotach.

Widzieli Ja i mówili,
że tędy droga jej bieży,
kiedy rząd mogił żołnierskich
bez krzyżów gdzieś w polu leży.

Widzieli Ja i mówili,
że z łun wyrosła czerwonych,
z żołnierskich głodów i chłodów
i z zasług niezapłaconych.

Widzieli Ja i mówili...
wieść coraz dalej się szerzy...
— Czyżby naprawdę wyrosła
z serc tych zabitych żołnierzy? —

Wieść coraz dalej się szerzy,
idzie po wioskach i dworach —
Już Ja widzieli idącą
bartnicy i drwale w borach.

Grajkowie i pastuszkowie
już dla Niej, kiedy szła tędy,
w spalonych chatach śpiewali
swe nieuczzone kolendy.

I tam, gdzie jeszcze nad ranem
śmiertelne świstały kule,

wieczorem stary pasiecznik
z melisą obchodził ule.

I tam, gdzie wczoraj śmierć była,
dziś pieśń pod niebo się wzbija;
— Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!

JULIUSZ KADEN - BANDROWSKI

SŁOMA

Słomo, słomo rodzona — dobre zboże Ojczyzny!

Wąsiku nasz zielony, radosny puchu wzgórz,
dumo kłosów rozrośniętych — wygięty, pyszny łuku
łanów urodzajnych, piękny ukłonie zasobności, —
szumie, szumie cudowny!

Kwiaty, kąkole, chabry, złotość, chwasty
i szczęście — szumie, szumie cudowny!

Słomo, słomo rodzona, opieko i ponęto żoł-
nierza... Słodczy żołnierskiego snu, kłopotcie i ra-
dości, dobra nakrywo utrudzonego ciała, szele-
szczący śmiechu przebudzenia, doradczy szmerze
powstań na alarmy!

Ty złoto chrupkie, łomkie, czyste, a tak do-
stępne, ojcowskie i matczyne, gospodarskie, Ty
dobre, zacne słońce, w kłosikach zimujące, ty, żaru
promienie, przechowane w stodole — zimowy śnie
zgasłego lata, poskładany, powiązany serdecznie —
aż do nowego lata.

Kwiaty, kąkole, złotość, chwasty, pożytek
i szczęście, — szumie, szumie cudowny!

Słomo, którą chwytamy, szeroko rozwarłszy
ramiona, jakbyśmy całą rodzinę brali w swoje
objęcia!

Gdy żołnierze czekają na cię w nocy, śpiąc nad stołem, drzemiąc nad łyżką, a z pod obrazów, z matczyngo łóżka patrzą na nich dzieci, gdy żołnierz wali z siebie żelazo, broń, rzemienie, pasy, cały ciężar wojenny...

Już szumis! Szumis, jak złote godła wschodniego obrządku. Otwarte drzwi, obłok mrozu wzdał się na progu izby. Noc się w drzwiach ukazała od śniegów biała na ziemi, gwiazdami na czarnem niebie nabijana.

Z tej nocy niosą cię na swych ramionach i przybywasz, ty słońce minionego lata, w łomkach promieniach przechowane w stodole!

Słomo, którą się rzuca na klepisko, iż spływasz z powróła, — jak z przechylonej konwi wino w Kanie galilejskiej, giętką złocistą strugą.

Utonie w tobie trud żołnierza, potoną dolegliwości odbitego na wojnie ciała. Gorąco skroni tętniących ustatkujesz swem ciepłem.

A to, żeś świeża i czysta, przeto pod spieczoną powieką żołnierza, jakby błękitem nieba tchniesz. A żeś jest taka świeża i szumiąca, wygnasz z uszu twarde echa wystrzałów i słuch szumem napełnisz.

Kwiaty, kąkole, złotość, chwasty, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny.

Zdrowe, kochane zboże, słomo, słomo rodzona! Pod ciemnym dachem chałupy, między czterema ścianami, białymi jak opłatki, leżysz, złota otoka światła, fala chrzęszcząca, wonna — jakby cię anioł z chałupy do chałupy na sklepisko kładł!

Gdzie ciebie niema — jesteś wszędzie!... Jak najłodsza, najwierniejsza kochanka opleciesz moc-

nym, ciepłym warkoczem strzemiona ułana, by nie dźwiękły, gdy pędzić będzie blisko swojej śmierci.

I ty, bezradna słomo niziutkich dachów, którą na dalekiej zatraconej placówce wyszarpuje koń, jak kudły ze łba bezgranicznej jakiejś Dobroduszości!

Ty zła słomo artyleryjskiej pozycji lub podstępного dołka, w którym się tai nerwowa, a nie-nasycona gardziel karabinu maszynowego. Zła, ostra słomo, co sterczysz przed armatami jak sztywne szczec — drapiącą, nieogoloną brodą!

I ty! Jasny, krótki strumieniu bez źródła i bez ujścia! W twej złotej fali stoi niebieski legion, zanurzony po piersi: Święta, przezacna słomo długich rowów strzeleckich!

Pomiernie ułożona, złota wstęgo obrony, w ciebie spływa krew rannych. Tobą obszywa Legion swą ziemię raz na zawsze! Ciebie tu, słomo, słyszy w huku wystrzałów, w dygotach uwiędłego listowia, ciebie tu słyszy w wołaniu o pomoc i w wielkim krzyku śmierci, dobrą kumę żołnierza!

Kwiaty, kąkole, chwasty, złotość, plewy — szumie, szumie cudowny!

A oto już nie słomą jesteś, lecz mierzwą, nic ci nie dam prócz gniewu i pogardy!

Jesteś słomą, w której się gnieździł i barłoczył mój wróg! Wyrzuciłem go stąd nagłym ogniem... Uciekł nad ranem jak pies z nie swego legowiska, a ty leżysz skopana, zmięta, w różne strony roztrzęsiona. Runo twej czystej fali oplwane jest tłuszczem jego strawy. Jego nienawistny wypo-

czynek odebrał ci wszelakie połyski. Wiatr i przeciągi gmerzą w twoich zwojach i nie tknie cię już nikt, bo cuchniesz twoją służbą nikczemną!

A oto jesteś dobrotliwa: Złotemi kometami uścielim cię na wozie dla rannych.

Bądź dobrą, bądź soczystą! Uszczknęły cię spalone gorączką wargi żołnierza, ktoś sobie kosmyk złoty do oczu tuli, a ktoś inny przebiera rozpaczliwie palcami, — bądź skarbem, niech w nim toną palce tego Łazarza i drzyj, szumiej najtkliwszemi radościami życia.

Kwiaty, kąkole, radość, plewy i zdrowie i wszystkie ciężkie rany — szumie, szumie cudowny!

Inna nastanie i ta jest słomą świętą: Leży równo na wozie, żdźbło wedle żdźbła. Niech ten snop będzie makatą złotą, bo jedzie wóz, co nie powraca z tym, co już poległ — bo jadą wozy z tymi, którzy już nigdy nie powrócą.

Chrzęścij jak stal, nasza słomo rodzona... Niech ten szum idzie z nimi, — szumiej jak wieść ogromna, proste zboże Ojczyzny.

Kwiaty, kąkole, chwasty, radość, plewy i życie, ciężkie rany i śmierć — szumie, szumie cudowny!

Taką cię dziś pożegnam, by cię jutro zobaczyć, droga, straszna, — kiedy cię ogień nasz niespodzianie zapali.

Nagłemi płomieniami kipsisz w rowach wroga jak krew, niby czerwony grzebień drzysz na horyzoncie, grzywą płomienia tańczysz. A z grzywy

tej w przerażeniu, w rozpaczach wylatują po dwóch, po trzech nieprzyjaciele nasi.

Trzaskajże wtedy, buchaj i łam się, — wołaj, szumiej.

Kwiaty, kąkole, chwasty, radość i plewy, rany, życie, skonanie, — szumie, szumie cudowny!

MOGIŁY

Zapomniane po drogach grządki — to my.

Mała, garbata wyniosłość wśród zbóż — to my i nasza дума.

Wysoka fala ziemi przy gościńcu — to my, a w jednej fali morze.

Ledwie widoczne stwardnienie doliny, pod lasem, w wielki guz — to my i upór nasz.

Stare kopce na polanie, niby kopce zapomnianej granicy — to znów my.

Wyniosłe miejsce w słonecznych sadach wiejskich; w dzwoniącej ciszy urodzaju prostokąt, ogrodzony drutem kolczastym — to my.

Zrudziały znak darni, nakrzyż wyciętej — to my.

Na stoku górskim, w ogrodzie, grządka na zawsze nieuprawna, z której cierpką goryczą — tchnie bujna pokrzywa, to my.

Na ugorach, pokrytych bliznami, zebrane w jedno miejsce kamienie — to my.

I sosna, pod którą nikt nie spocznie na piaszczystym trakcie.

Jesteśmy nieustannym wybuchem polskiego
męstwa, jesteśmy ciężką falą wieczności — mogiły.
W nas chronią się skrwawione mundury, my skar-
bimy tę pleśń, z której po latach tryskają nowe
błyskawice.

Zapomniane po drogach grządki rozjechał wóz.
Małe pagórki wśród zboża zaorał pług.

Wysoką falę ziemi przy gościńcu rozdeptał
pilny płot.

Stare kopce po lesie ugięły się pod ściółką.

Wyniosłe miejsca w sadach spalonej wioski
rozkołysały nowe łany żyta.

Na ugorach, pokrytych bliznami, kamienie
rozeszły się z kopca.

Samotna sosna pociętem ciałem kołysze małe
dzieci.

Lecz nic z przemiany tej nie pojmie, nie uko-
cha! I nie spostrzeże nigdy kurzu szczęścia na
wiosnę, a pod namiotem lata nie uczi urodzaju,
a w twardej zimie nie doświadczy zdrowia wieczy-
stego — kto nie znał sosny, pod którą nikt spo-
czywać nie śmie, grządek zapomnianych nie okry-
wał darniną i pagóreczków wśród zboża nie ubijał,
i ziemi przy gościńcu nie składał, i kopców wśród
lasu nie sypał, i na ugorze kamieniem przydrożnym
nie znaczył malutkich fal wieczności.

STANISŁAW DŁUGOSZ

SWOJKÓW

Komendantowi

Zachód słońca. Słysząc strzał po strzale.
„ — Atakować masz na Swojków — dwór! “
Marsz pod górę — tyraljerki sznur —
a przed nami, we dworze, moskale.

Syllogizmy głupiej sofistyki,
filozofji rozważania czad,
może piszą teraz listę strat
i ostrożnie wywodzą pewniki.

Jeden przecie tylko pewnik znamy:
„nim dosięgnie serca ostry sztyk,
zanim umrze w piersiach cichy krzyk,
ty — rozwalaj wpółotwarte bramy“.

Ktoś się zwałił na ziemię. To trudno.
Na roztkliwiań godzinę nie czas:
w zbożu młodem jeden bagnet zgasł.
Kto śmie litość rozvodzić obłudną?

Kto zna jego przeogromną radość,
którą niósł ze sobą do ostatka?
Niech zapłacze nad nim tylko matka —
bo lamentów zdawna w Polsce zadość...

Na zagonach sandomierskich żbóż
zabierały rosyjskie okopy.
Kto te kłosa będzie wiązał w snopy?
— Broń się, wrogu, albo oręż złóż!

„Hurra! — Naprzód!“ jeszcze kroków dwieście,
niech się w piersiach nie zagubi dech.
Za zerwaną słomę z polskich strzech,
za dom każdy zapalony w mieście,

za niedolę nieuprawnych pól!... —
Idą chmury wybuchowych kul,
dookoła wieś za wsią się pali —
A przed nami... okopy moskali.

16 maja 1915 r.

JÓZEF MĄCZKA

STARYM SZLAKIEM

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!...
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
my — żołnierze sercem prości,
silni wiarą i nadzieją,
że tam, kędyś, świty dniają!

Zawołały ku nam zdala
starych haseł złote dzwony! —
Zaszumiała kłosa fala...
wiatr z dalekiej powiał strony,
i na złotym grał nam Rogu
pieśń o Sławie — i o wrogu!

Zamarzyły się nam czyny
z pod Grochowa — Ostrołęki —
Krwawych ojców krwawe syny
zapragnęlim świeżej męki,
bowiem w grobach kości stare
wciąż wołały: „Exoriare“!

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
po wyroki idziem boże

w przełomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili!

Niech za nami nikt nie woła!
Niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła —
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy — jako Oni!

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w jutra wschody.
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem,
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła!

RANNY

Już listu nie napiszę,
ni woli mej nie powiem...
skroń ciąży mi ołowiem —
odbiegli towarzysze...
a którzy byli przy mnie,
ostygli już na zimnie...

Na ziemi w ranach leżę
a nic mnie już nie żali...
gromnice słońko pali,
wiatr szepce im pacierze:

„na polskiej zabit ziemi
kulami moskiewskimi...
Za Polskę legł na łanie —
Wieczne odpoczywanie!...”

Requiem grzmią armaty —
nie czuję ran ni bólu...
„Zegnajcie mi matulu” —
Na oczach krwawe płaty...
Kres mękom, poniewierce —
krew, krew ustami płynie...
Ojczyzno — wzięłaś serce —
duszę Ci moją ninie
oddaję w tej godzinie!...

KRWAWY SPADEK

A to jest krwawy spadek Wasz,
i krwią pisane ku Wam słowa:
Trzymajcie ziemi onej straż,
gdy przyjdzie zamieć piorunowa...
Nie dajcie szarpać ziemi łona,
gdy krwią dziś świeżą poświęcona!...

Zaś którzy wyszli z pośród Was
i krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystkim czas — po wszystkim czas —
I niechaj granic polskiej ziemi
duchami strzegą płomiennymi!...

MOGIŁOM
ARCHANGIELSKIM I MURMAŃSKIM

Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą,
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.

Gdzie ziemię opuszczoną
mróz lśniącą pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
śnie towarzysze broni.

O POLSKĘ, od zbóż złotą
walczyli pod biegunem,
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.

Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi —
— jedynie brzozy płaczą.

Miast mów — trzykrotna salwa
rozlega się echami
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.

Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce,
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.

Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczystej ziemi,
z oddali rzucę na nich
dłoniami tęskniącemi.

By duszą zmartwychwstali,
rozpięli skrzydła cudnie
i poszli — płacząc z szczęścia —
z północy na południe.

SZARŻA UŁAŃSKA

Pamięci wspaniałej szarży pod Komarowem w r. 1920 —
8-mu pułkowi ułanów im: ks. Józefa Poniatowskiego

Szwadronami do szarży m-a-ar-sz!!

Ruszy z kopyta klusem — galopem,
świstem i burzą wicherata brać —
druzgotać pędem, topić potopem,
sobacze ścierwa i pruć i plwać — —

Hej! szable w dłoń i lance w dłoń!
hurra! hurra! hurra na wroga! — —
Na wicherze struną rozpięty koń
w żeleźcach szabel słońca pożoga — —

W przegony z wichrem — — w brzuchy ostrogi!
twarze wtulone w szumiącą grzywę — —
Z drogi psiewiary, psiesyny z drogi!
w glorii słońc płoną szablance krzywe — —

Hej! hej! — rotmistrzu — wrogów czarniawa
czerwienią płachet płomiennych skrzył
od pędu łuna na oczach krwawa —
prują ze świstem wicher końskie łby — —

Ryk! — piorun: granat rozdarł kolumnę:
kilka się w ziemię zapadło ciało — —

Później wawrzyny, krzyże na trumnę,
teraz nie pora — po trupach wcał!

Jak one orły skrzydła rozpostrą —
pomstliwość piersi jak ogień żre:
lanc błyskawicę pochyla ostrą,
ni wprzód sprężone pazury lwie — —
Chrapy grają — ławą wala
w słońca kurzawie w płatach piany —
przez piersi wichrów szyją stałą
żółte ułany, polskie ułany — —

I niósł ich wicher i niósł ich pęd,
ten pęd, ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

Mkną pomylenie
ludzie i konie zwolnione z pęt
chłopy zwaliste, szablance w ręce —
prężne nóg mioty biją w ziem z mocą —
na nozdrzach krew — płaty piany —
idą wicherą żółte ułany:
ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

Zdruzgocą, zdruzgocą, zdruzgocą, zdruzgocą — —

Łom, łomot, trzask — wrzawa grzmotliwa —
ryk, potępieńców — Lance przez żebra —
grochot chroboty krwawego żniwa —
Na łby ze świstem pioruny ze srebra
naodlew zgóry — tak z pełnych strzemion!

Och! — krwi bluzgoty i łbów odszczepy:
chłopy jak snopy ścielą się ziemią —
pogrozą w ślepią bije strach ślepy — —

Żeną jak bydło przed się gromadą
azyjatyckie ścierwa, wywłoki, —
zaświstem burzy na karkach jada
w chrap, w chrap charkocie, w bluzgach posoki,
w błyskańcach szablic — —

W brzuchy ostrogi!
z drogi, z drogi, z drogi, z drogi!
Zdruzgocą, rozniosą, rozniosą na szczyt
polskie ułany, żółte ułany — —
Ten pęd, ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

CZĘŚĆ DRUGA

TOPIELEC

W zwiewnych nurtach kostrzewy, na leśnej polanie,
Gdzie się las upodobnia łące niespodzianie,
Leżą zwłoki wędrowca, zbędne sobie zwłoki.
Przewędrował świat cały z obłoków w obłoki,
Aż nagle w niecierpliwej zapragnął żałobie
Zwiedzić duchem na przełaj zieleni samą w sobie.
Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
I czarował zniszczotą wonnych niedowcieleń,
I kusił coraz głębiej — w tę zieleni, w tę zieleni!
A on biegł wybrzeżami coraz innych światów,
Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
Aż zabrnął w takich jagód rozzwonięte dzbany,
W taką zamroczone paproci, w takich cisz kurhany,
W taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy,
W takich szumów ostatnie kędyś zawieruchy,
Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
Cienisty, jak bór w borze, — topielec zieleni.

D A B

Zaszumiało, zawrzało, a to właśnie z dąbrowy
wbiegł na chóry kościelne krzepki upiór dębowy.
I poburzył organy rąk swych zmorą nie zmorą,
Jakby naraz go było wespół z gęźbą kilkoro.

Rozwiewała się, trzeszcząc, gałęzista czupryna,
I szerzyła się w oczach niewiadoma kraina,
A on piersi wszem dudom nastawił po rycersku,
A w organy od ściany uderzał po siekiersku!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Bił prawicą na lewo, a lewicą na prawo,
Pokrzyżował ryk z jękiem, a lamenty ze wrzawą,
Aż z tej dudy — marudy dobył dłonią sękatą
Pieśń od wnętrza zieloną, a po brzegach kwiciatą.
Wyszli święci z obrazów, bo już mają we zwyku,
Że się garną śmierciami do śpiewnego okrzyku.
I Bóg przybył skądinąd, niebywały w tej porze,
Niebywały, lecz cały zasłuchany! O, Boże!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Grał ci drzewne obłędy, sen umarłej zieleni,
Rozpacz liści, porwanych wirem zimnych strumieni,
I grał marsze żałobne muchomorów, co kroczą
Jedną nogą donikąd, kiedy zgon swój zaoczą.
I grał o tem, jak mszary jeno milczą a milczą,
Jak śmierć leśna śpi nawznak pod jagodą pod wilczą,
I jak rosa bez oczu swemi łzami się nęka,
I jak drzewo pod ziemią w nagły żal się rozkłęka!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

A gdy śpiew mu uderzył dudem leśnym do głowy,
Grał wszystkimi jarami wszystkie naraz parowy!
Aż ten ołtarz złękniony, gdzie wyłota się święci,
Chciał już runąć na ziemię, lecz potłumił swe chęci.
A on w podłóż organów, stare miażdżąc im koście,
Porozpędzał swe dłonie, jak te nogi po moście,
I, rozwiawszy tłum dźwięków po pieśniowym
rozłogu,
Wygrzmiał z miechów to wszystko, co las myśli
o Bogu!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Między Bogiem a grajem znikła inszość i przedział,
Skoro Bóg się o sobie snów dębowych dowiedział.
— „Odkąd żyję na świecie, a wszak jestem
wieczysty,
„Nigdy dotąd nie słyszał takiego organisty!“
Grajek znawstwu bożemu na pamiątkę i chwałę
Porozbujął pieśń górą w dwa ruczaje niestałe,
Rozmurawił ją dołem, aż się kościół zielenił,
A cienistym przyspiewem twarz słuchacza ocienił!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,

Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

I Bóg słuchał wzruszony, słuchał duszą bezkreśną,
A w tej duszy mu było i ruczajno i leśno,
I coś jeszcze miarkował i coś dumał na stronie
I biegł żywcem do grajka i wyciągał swe dłonie!
Święci, wiedząc, co czynią, w nagłej cudom
podzięce
Poklękali radośnie, wzięwszy siebie za ręce,
Bo, od kiedy świat światem, a śmierć jego obrębem,
Po raz pierwszy Bóg, płacząc, obejmował się
z dębem!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

SZEW CZYK.

W mgłach daleczeje sierp księżycyca,
Zatkwiony ostrzem w czub komina,
Latarnia się na palcach wspina
W mrok, gdzie już kończy się ulica.
Oblędny szewczyk — kuternoga
Szyje, wpatrzony w zmór odmęty,
Buty na miarę stopy Boga,
Co mu na imię — Nieobjęty!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,
Naści z mej dłoni dar obfity,
Abyś nie chadzał w niebie bosy
I stóp nie ranił o błękity!
Niech duchy, pałac gwiazd pochodnie,
Powiedzą kiedyś w chmur powodzi,
Że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,
Bóg przyobuty bywa godnie!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi, Boże, kęs istnienia,
Co mi na całą starczy drogę, —
Przebacz, że wpośród nędzy cienia
Nic ci, prócz butów, dać nie mogę.
W szyciu nic niema, oprócz szycia,
Więc szyjmy, póki starczy siły!
W życiu nic niema, oprócz życia,
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

ŻOŁNIERZ.

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.

Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.

Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli,
Śmieszył ludzi tym bólem, co, tak skacząc, boli.

Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.

Zwłókł się do swej chałupy: — „Idź precz popod
[płoty,
„Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!“

Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.

Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!

— „Z takim w łożu drygałą mam tańczyć do
[śmierci?
„Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków — trzy ćwierci!

„Ani myślę ci dotrzeć w takim niedopłasiu!
„Ani myślę wargami sypiać na twym wąsie!

„Zanadtoś mi wyskoczny do nieba na przełaj!
„Idź-że sobie gdziekolwiek i nie kluj i nie łaj!“

Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:
— „Chryste, nawskroś sosnowy, a zamysł się srodze!

„Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
„Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.

„Masz kalekie kolana i kalekie nogi,
„Pewno skaczesz, miast chodzić, unikając drogi?

„Taki z ciebie chudzina, takie nic z obłoków,
„Że mi będziesz dobranym towarzyszem skoków.“

Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemni!

Obie ręce miał lewe, obie nogi — prawe,
Sosnowemi stopami podziurawił trawę.

„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,
„Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdamy.

„Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
„Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.

„Podzielimy się męką — podzielnać jest męka! —
„Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.

„Tobie trocha śmieszności, mnie śmieszności trocha,
„Kto się pierwszy zaśmieje — ten pierwszy pokocha.

„Ty podeprzesz mię ciałem, ja ciebie sośniną,
„A co ma się nam zdarzyć, niech się zdarzy ino!“

I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie,
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie.

I szli godzin wieczystych niewiadomo ile,
Gdzież bo owe zegary, co wybrzmiały te chwile?

Mijały dni i noce, którym mijać chce się,
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.

I nastała wichura i ciemność bez końca
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.

Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyscieje?

To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki
Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!

Jeden idzie w weselu, drugi w bezzałobie,
A obydwaj nawzajem zakochani w sobie.

Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden — za mało,
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało?

Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

BALLADA O POWSINODZE BESKIDZKIM
KUTERNODZE DRUCIARZU, O DUSZKACH
GARCZYCH I LIPOWYM KWIECIU.

— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —

— zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— zieleni się lipa
latosią potrzeba —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —

— przysel haw
ze spiża z oraw —
wędrujący za grosiwem
za żywiołem, przyodziewem
sobkiem społem
jak ta trafi
po gromadzie i parafi
druciarz:
— — garki druuutować —

— — blaaaszane naprawiać —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szczyby, czupki, brzucha, ucha —
szyje, denka i pokrywy —
cały sprzęt po nocy żywy —
— kto nie wierzy — niechaj słucha —
...gdy północkska zbudzi dziwy —
rada w radę rzy gromada —
gada, bada, odpowiada —
wras się z pólek, z nalep skrada
i beznogą sunie drogą
dudni, brzęczy, dźwięczy, chrzęści
coraz żwawiej, chutniej, gęściej — —
— na kuchennem na klepisku
kręcą się i tańczą w ścisiku —
podskakują, dęba stają
całują się obłapiają —
garki, dzbanki, miski, kotły
co tam z kątów zmiotą miotły —
szyje, czupki, brzucha, ucha —
uha — uha —
garnek w garnek wali z ucha —
dudni, dźwięczy, gwarzy, dudni
raz na studni, raz z pod studni —
coraz warciej, coraz ludniej
garczej, dzbanniej, kotlej, brzusznej —
aż koguta głos zagłuszy
i hałastra znów na półki
gromadzi się, podskakuje —
kaszle, chrypi, pobrzękuje —
z pod niecułki

patrzy martwo —
jakby nigdy nic — —
jeno żywsze wzbrzuszeń szkliwo
zdradza ono nocne dziwo — —
— -- jeno lipa płatki prószy
na sen-marę garczej duszy —
— garki druuutować —
— blaaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować, zreperować,
dziury blachą ponadstawiać — —
— niema garków —
— panbóg prować —
— coś mamroce, klnie i biada —
— idź druciarzu do sąsiada —
— zebrali z pod okapu
zebrali z polepy
łapu capu
garki i czerepy —
—
poustawiał toto wkoło
czoło utarł łątną połą —
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci, zmierza,
wkoło brzucha wcwał obieża,
supli, węźli, naklepuje —
majster walny — haj — drutuje,
garkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydreptuje —
jak do tańca, jak do tańca —
ode denka aż do krańca —

snuje, kuje, przydreptuje,
przymłaskuje, przymrużuje
tą zdrową powieką — —
— będzie — będzie gar na mleko
na mleko
na ziemniaki, kapuste
na rosoły na tłuste —
a już się widziało
— jak go stłukły dzieci —
że trzeba nim już smyrznąć
na oborę w śmieci —
aż tu przyszedł ozdrowieniec
wyjon z torby drutu wieniec —
pomajstrował, odrutował,
w kwadre pięknie sprzymierzował
ucho zgrabnie przylutował
majster-pipka — majster boski
umniejszył nam dzisiok troski —
nie było do czego doić
i wieczery w czym nastroić —
odjon przekleństw sto i kar
grzech odchybnął precz od duszy
chłop nie psiekrewi nie psiojuszy
bo już jest na mleko gar
zdrutowany jak się patrzy —
—
druciorz takici odmieniec —
skończył — zwieńczył drutu wieniec —
złożył nabożnie do torby —
świdry, młotki, cęgi, korby — —
— — zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —

od lipy wiedzie droga
naokoła świata —

—
coś się tam śnim targowali —
wreszcie przystał — grosze wzion
kubek mleka, chleba glon —
— poszedł dalej — —

— — zieleni się lipa
szumi pszczelna praca
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— — garki druuutować —
— — blaaaszane naprawiać —

—
przyjdźże boży druciarzu
przyjdź raz jeden do mnie —
coś ci mom na wyzdrade
potrzeba ci ogromnie —
— lankur mi legł na wnętrzu
po kucy się wierce
drutujesz bracie garki
podrutuj mi serce — —

— — lipa kwiatem w głos się śmieje
na miłości na nadzieje —

—
zanim druciarz przyszedł na zwołania
obszedł kuśdykując trzy stajania —
swoim zwykiem — duchowym porządkiem
przyłgnał kapke pod lipą pod świątkiem —
ej nie kapke — — bo umarł dziadyga —
któżta wie moiściewy kto jest pierwszy z brzyga —

—
odszedł druciarz-kuternoga
czupek cielska ostawując
zgarbionego, kulawego,
wychudłego, zgarczonego —

—
odszedł druciarz kuternoga — —
— — zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —

—
za piecem u Panaboga
— tam — majstruje — naklepuje —
reperuje i drutuje
i drutuje
słonecznymi promieniami
w kwadre pięknie przymierzuje
łaty świeczy wkrąg gwiazdami —
świątkom garnki wciąż drutuje —
powsinoga beskidzki kamratowy gość
ma słonecznych drutów, gwiezdnych świeców dość

—
święci garnków nie lepią — —
— — jeno lipa płatki prószy
na sen-marę garczej duszy —

DĘBY POD PEŁNIĄ.

Dęby pod pełnią czernią się ogromne —
w szumie ich liści drżą dzieje człowieka — —

— — oczy i uszy — zmysły nieprzytomne
zaduma cieniem dębowym obleka.

Księżyc — źrenica z pod chmurnej powieki —
ponad dębami stanął szumiącym — —
w bezkres wieczysty — bliski i daleki —
noc księżycowa śle legendę ziemi.

W pustce samotnej, w dębów wielkim cieniu,
który i ziemię i niebo obejmie —
stoimy, bracia, w świętem zgromadzeniu
na straży dziejów — w duchów walnym sejmie.

*

Dęby pod pełnią czernią się ogromne
— dojrzewa, dojrzewa czas —
ni jednej drogi, ścieżki nie zapomnę
ni was, przyjaciele, ni was —
— drogi, któremi szliśmy kiedyś razem
albo z osobna —
— tyle, tyle dróg! —
a każda innym przemawia obrazem
jedna do drugiej nigdy niepodobna —
— która z nich dobra — jeden to wie Bóg!

—
Mniemam, że wszystkie! — bo tak czy inaczej
do wiecznych przecież wszystkie wiodą wrót —
— od przyplątanej chroni nas rozpaczy
pewność, że ducha by-najmniejszy trud
świadomość ziemi pomnaża i wznosi —
—

posiane ziarno w żniwny czas ktoś skosi,
zebrane snopy czyjś wymłóci cep —
ktoinny ziarno zanieś do młyna,
inny do piekarń — aż przyjdzie godzina:
wszyscy jeść będą Ciało Pańskie — chleb.

*

Dęby pod pełnią czernią się ogromne —
— na wschodzie błądy rozjarza się świt —
wielkie są dzieje dębów i niezłomne:
zaklęty w wieczność prasłowiański mit.

Zachodzi pełnia za krawędzie wzgórza —
modrzeje dębów zamyślony cień —
— misterjum ziemi! — : — oto się wynurza
nowej ludzkości wyzwolony dzień.

*

Dęby pod pełnią czernią się ogromne —
— dnia idącego słycać rozwój bram —
— uczucia zwiane i myśli bezdomne
ujęte w karby dębinowych ram.

Wielki dzień idzie! — klękajcie w pokorze,
uderzcie czołem o dębowe pnie —
— w poszumie liści przez jutrzniowe zorze
skrzydlaty rumak Światowida mknie.

Duchowe na się chmura kształty bierze,
wysmukłych, srebrnych, księżycowych twierdz:
manifest jutra, najświętsze przymierze
mądrością ziemi odrodzonych serc.

PIEŚŃ PRZEDWIOSENNA.

Smutek lubi się gnieździć w wytartym surducie,
O twem osamotnieniu świadczy brak guzika,
A w dziurze, co się jątrzy w wykrzywionym bucie,
Opuszczenia dziwaczna powieść się zamyka.

Już przez ubiór twój życie daje dziwne znaki
O zwycięstwie nad sercem, co się łatwo ludzi,
Więc gdy błądzisz ulicą, jak życzliwe ptaki,
Lecą za tobą oczy podupadłych ludzi.

Bo twego kapelusza kryza połamana,
Zawadjacka brawura zdartego krawata,
Wskazuje pobitego w życiu weterana,
Co błądzi, jak banita, wśród obcego świata.

Lecz by wymazać z życia twój majestat smutny,
Co niby czarna perła zagadkowo błyska,
Instykt przyziemnych ludzi, jak zwykle okrutny,
Rzuca na cię złośliwie szydercze przezwiska.

Wówczas to duma twoja młodzieńcza i harda
Potrafi tchnąć w twój ubiór królewskie uroki,
Godne na zapomnienie skazanego barda,
Którego pokrzywdziły nieludzkie wyroki.

Wówczas po dachach, szybach, na powierzchniach
[kałuż
Blask królewskich festonów księżyc ci zapala...
O tak! Kapelusze z dumą na tył głowy nałoż,
Korowód z pochodniami już cię wita zdala.

A mocny wiatr kwietniowych, przedwiosennych
[nocy,
Ożywczy, niby strumień zimnej, czystej wody,
Na cześć twoich nadziei i młodzieńczej mocy,
Natchnionym hymnem miejskie napełnia ogrody.

I znów się zmarnowane myśli twe zleciały,
A z niemi wraca cudny dawnych wiosen zapach,
Zżółkłe skrypty, na strychach przepadłe szpargały,
Co zapomnienie z przygód uniosło w swych łapach.

I znów powracasz w dawne, zapadłe poddasza,
Gdzie dotąd księżyc przez dziury firanek
Barwny teatr wspomnienia nocą do cię sprasza,
Gdzie dyszy szept namiętny twych dawnych ko-
[chanek.

PIOSENKA

Jeszcze na brukach lśni się ulewa,
Lecz zmierzch wieczorny pełen jest gwiazd,
Tak przejmująco szumią dziś drzewa,
Wiatr nietoperze wypłasza z gniazd.

O, pójdź w królestwo ciemne kasztanów,
Kochanków latarni i złotych gwiazd,
Odgrywających na tle parkanów
Smutek zbłąkanych, jak ja, wśród miast.

Może posłyszysz w ich dziwnym szumie
Wątek dzisiejszych zdarzeń i scen.
Bo choć już wieczór, pojąć nie umiem,
Że to jest jawa, że to nie sen.

To Bóg sam chyba za coś w sekrecie
Ciepłą swą ręką zesłał mi dar,
Bo o czemś wzniosłem i wielkiem w świecie
Twych pocałunków przemawia żar.

Bo w mym pokoju, gdy drżąc od trwogi,
Skrywałaś piersi białe, jak bez,
Nie chcąc zgubiłaś w kurzu podłogi
Rzadkie klejnoty szczęśliwych łez.

A teraz gwiazdy, serce me, drzewa,
Gazowe lampy, przydrożny bez,
Cała ulica pieśń wielką śpiewa
O rzadkim skarbie szczęśliwych łez.

JULJAN TUWIM

NAUKA

Nauczyli mnie mnóstwa mądrości,
Logarytmów, wzorów i formułek,
Z kwadracików, trójkacików i kółek
Nauczyli mnie nieskończoności.

Rozprawiali o „cudach przyrody”,
Oglądałem różne tajemnice:
W jednym szkiełku „życie w kropli wody”
W innym zaś — „kanały na księżycu”;

Mam tej wiedzy zapas nieskończony:
 $2\pi R$ i H_2SO_4 ,
Jabłka, lampy, Crookes'y i Newtony,
Azot, wodór, zmiany atmosfery.

Wiem o kuli, napełnionej lodem,
O bursztynie, gdy się go pociera...
Wiem, że ciało, pogrążone w wodę
Traci tyle, ile... etcetera.

Ach, wiem jeszcze, że na drugiej półkuli
Słońce świeci, gdy u nas jest ciemno!
— Różne rzeczy do głowy mi wkuli,
Tumanili nauką daremną.

I nic nie wiem i nic nie rozumiem,
I wciąż wierzę biednymi zmysłami,
Że ci ludzie na drugiej półkuli
Muszą chodzić do góry nogami.

I do dziś mam taką szkolną trwogę:
Bóg mnie wyrwie — a stanę bez słowa!
— Panie Boże! Odpowiadać nie mogę,
Ja... wymawiam się, mnie boli głowa...

Trudna lekcja... Nie mogłem odrazu.
Lecz nauczę się... po pewnym czasie...
Proszę! Zostaw mnie na drugie życie,
Jak na drugi rok w tej samej klasie.

ŻYDZI

Czarni, chytry, brodaci,
Z obłąkanymi oczyma,
W których jest wieczny lęk,
W których jest wieków spuścizna,
Ludzie,
Którzy nie wiedzą, co znaczy ojczyzna,
Bo żyją wszędy,
Tragiczni, nerwowi ludzie,
Przybłądy.

Szwargocą, wiecznie szwargocą,
Wymachując długimi rękoma,

Opowiadają sobie jakieś trwożne rzeczy
I uśmiechają się chytrze.
Tajnie posiadli najskrytsze
Z miljarda czarnych, pokracyjnych literek
Ci chorzy obłąkańcy,
Wybrany Ród człowieczy!
Pomazańcy!

Pogładzą mokre brody
I znowu radzą, radzą...
— Tego na bok odprowadzą.
Tego wołają na stronę.
Trzęsą się... oczy strwożone
Rzucą szybko przed siebie,
Czy kto nie słyszy...

Wieki wryły im na twarzach
Bolesny grymas cierpienia,
Bo noszą w duszach wspomnienia
O murach Jerozolimy,
O jakimś czarnym pogrzebie,
O rykach na cmentarzach...

...Jakaś szatańska Msza,
Jakieś ukryte zbrodnie
(...pod oknami... w piątce... przechodnie...
Goje... zajrzą do okien... Sza! Sza-a-a)

— — — — —
— — — — —

DWA WIATRY

Jeden wiatr — w polu wiał,
Drugi wiatr — w sadzie grał:
Cichuteńko, leciuteńko,
Liście pieścił i szeleścił,
Mdlał...

Jeden wiatr — pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący senny sad.
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Sfrunął śniegiem z wiśni kwiat,
Parsknął śmiechem cały sad,
Wziął wiatr brata za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonia obaj chmury, ptaki,
Mkna, wplątują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigi,
W prawo, w lewo. świst, podrygi
Dmą płucami ile sił,
Łobuzują, pal je lichy....

A w sadzie cicho, cicho...

PIEŚŃ O BIAŁYM DOMU

Budowali Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Budowali dom szalony,
Stupiętrowy, marmurowy,
Na drabinach, rusztowaniach.
Wznosili piorunochrony,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy,
Budowali Biały Dom!
Tłukł w marmury twardy łom,
I wznosili robotnicy
Wężom złotej błyskawicy
Dachy wieże i kopuły,
Które przednie mistrze kuły
Swoim snom, strzelistym snom!
Budowali, budowali,
A gorzało słońce w dali,
Różowiło szmat ulicy,
I śpiewali robotnicy:

„Budujemy Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Stupiętrowy, marmurowy,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy!“

A był jeden murarz młody,
Co niebieskie oczy miał,
Na czterdziestem pięttrze stał,
I tak śpiewał murarz młody:

„A jak stanie dom gotowy,
Stupiętrowy Biały Dom,
Mało będzie moim snom,
Pójdę wyżej, pójdę dalej,
Bo się białe słońce pali.
Pójdę wyżej, zrobię więcej,
Stanie pięter sto tysięcy!”

I rozległ się śmiech murarzy:
„Zobaczmy! Jak Bóg zdarzy!”
I za boki się ujęli
I śmieli się, śmieli, śmieli! —

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TYLE JEST WE MNIE BAJECZNEJ POGODY

Tyle jest we mnie bajecznej pogody,
I tak szaleństwem mam głowę nabrzmiałą,
I taki jestem rozlewny i młody,
Że mi już miejsca jest wszędzie za mało.

Wichr jeździ ze mną naokoło świata
A mego serca złoto jest ze słońca,
Każda ma lekka myśl gdzieindziej lata,
I cały jestem bez dna i bez końca.

Niepowstrzymany i rozpromieniony,
Jak elektryczność, jak piorun wichury,
Szukam gdzieś jakiejś piątej świata strony
Dla mej wysokiej, szerokiej natury.

Nadmiar przelewa się, jak szczęście we mnie,
Po krwi uganiania strugą oszalała
I ujścia pragnie w mem sercu daremnie!
Samemu mnie jest już siebie za mało!

Moja poezja, jak wino, musuje,
(Niech i wam głowy zaćmi i zaprószy!)
A wiersz mi każdy ze snu wyskakuje,
Jak srebrny korek mej szampańskiej duszy.

Pijany jestem, zataczam się w drodze,
Rozpycham niebo, trącam świat łokciami
I bohaterskim tenorem zawodzę
Prym w głównej arji śpiewanej chórami.

Bo która gra jest od życia piękniejsza
I szczęśliwszego cóż jest ponad życie,
Co w swojej pełni do serca się zmniejsza
I olbrzymieje do słońca w zenicie?!

Różne, wszechmocne, cudowne, szalone,
Życie bez nazwy, bez dna i bez końca,
Niepowstrzymane i rozpromienione,
Jedyna prawda wszechobejmująca!

Wystrzelaj serce! Niech się rozpanoszy,
Rozhula śmiech twój i niech krew skrzydlata
Tryśnie z pod ciebie na orgję rozkoszy,
Szampański korku piątej strony świata.

PODRÓŻ DO AFRYKI

Gdzieś za witryną dostrzec siedem słońi,
Albo żyrafę na marce Niassy
I już odjeżdżać! Tylko raz się dzwoni
Na afrykańską podróż w ananasy!

Wprost na ulicy wsiadam do wagonu,
Rozkładam bagaż i przez okno patrzę
Na świat bajeczny tego iluzjonu,
Który się kręci w głowie, jak w teatrze.

A gdy do domu, pełny dziwnych zdarzeń,
Dobiję jakoś, to stara kanapa
Jest, by jacht z gniazdem bocianiem dla marzeń,
A serce w piersi, jak w kieszeni mapa.

Ściany rozstąpią się, i wielkie morze
Ład mój pożegna sekretnym szelestem,
A papierosów dym błękitne zorze
Zawiesi ponad niktającym Triestem.

Afryko dzika, śniona tyle razy,
W żółte na mapie malowana kreski!
Już widać twoje wśród piasków oazy,
I już kołysze mię kanał sueski.

Sfinks mi się kłania, a w dali, na przedzie
Aden połyska minaretów sławą!
Tu, kapitanie, niech sternik wywiedzie
Jacht na ocean i skręci na prawo!

Wygasły Kibo znowu się zadymi
I brzeg oświetli lampjonem pożaru,
Na wjazd mój będzie skokami dzikimi
Tańczyć sam wielki sultan Zanzibaru.

Rozdziawią paszcze z dziwu krokodyle
I wyprostują swe garby wielbłądy,
Strusie, kryjące łeb w piaskowym pyle,
Wstaną, szpalerem otaczając lądy.

A głowa pełna murzyńskich wyrazów
I dróg Stanleya bez pryzm i bez darni,

Wśród niewidzianych nigdy krajobrazów
Zbłądzi, jak w cudach magicznej latarni.

W tej panoramie dopłynę bez troski,
Niczem wśród Lloyda najdroższych cenników,
Na Madagaskar, gdzie hrabia Beniowski
Raz w noc przeczyta mi coś z pamiętników.

I zwierzy mi się, że w morzu, na górze
Wyspy, gdzie zdawna już nikt nie zazierał,
Duch jakiś chodzi w francuskim mundurze,
Ktoś, jak banita, i ktoś, jak generał.

Wywieście gwiazdną banderę okrętu,
Niech go pozdrowi wśród morskiej zawiei,
Gdy kompas palcem pokaże u skrętu
Złote wybrzeże z Przylądka Nadziei.

Dal się wyłoni z mgieł nieodgadniona
I świat powieścią Jules Verna się wyda,
Życie wyprawą w cuda Robinsona,
A każdym miastem będzie Atlantyda.

Jachcie mój lekki! Już ostatni sygnał
I już ostatnia po drodze depesza!
Wiatr żagle twoje do Kadyksu przygnał,
I serce mapę na kołku już wieszka.

Już nie bocianie gniazdo nie wywróży,
Iluzjon w głowie kręcić się przestanie,
Wysiadać! Koniec cudownej podróży
Snów karawaną po fatamorganie!

DYSKOBOL

Rzut mój w rozwartej zaczyna się dłoni,
Rzut mój się kończy — niewiedomo gdzie, —
Dysk, niby dukat pobłyskliwy, dzwoni
Poza światami, za metami, — w mgle!

Dysk mój upada na ziemię, i dźwięczy,
I znów się zrywa i wykreśla łuk, —
To serce skute w złocistej obręczy
Tętni, i bije i przyspiesza stuk.

Z placów na place, jak pstrąg się przerzuca,
Jak lotne przeszło, jak skaczący most,
Rzut, który światom wyolbrzymia płuca,
Który wymierza gwiazdom wielkim wzrost.

Rzut, który miarę wytkniętą już przerósł,
Minął granice i wzbił się, jak duch, —
Rzut, ten mam w dłoni, — dyskobol i heros,
Ja, który wszczynam niewstrzymany ruch.

DO WSPÓŁCZESNYCH

W co ich zmieniać — w aniołów czy w szczep
[kołodziejów],
I który z wiatrów zguby rozbijać, gdy leci, —
Ile jeszcze udźwignąć nam każesz stuleci
I nie runąć pod niemi, — ciemna muzu dziejów!



Ile razy wywyższysz i strącisz nas na dno,
Salwą każesz bić w niebo i walić się w trumnę!
Twój los ma oczy wielkie, lecz czas bezrozumne,
Spójrz — co twoje źrenice z mąk ludzkich odgadną?!

Co nam z tych ran otwartych, które każdy liczy
Śród nocy zadumanej, palcami Tomasza?!
Tyś je światu zadała, krew zmyła je nasza,
Tyle w nich jest wielkości, ile w nas goryczy.

Przewięzłaś nam życie, jak bandaż, przez ziemię,
By goiła się pod nim, ugorna i żyzna,
Aż przesiąkła weń bólem i w półśnie dziś drzemie,
Owinięta w nasz łachman, jak w sztandar ojczyzna.

Nasz urodzaj jest gorzki, twa wielkość z piołunu,
Świat ma usta zapiekłe, a ziemia wciąż krwawi.
O, chyba cię ta gorycz nad wszystko rozślawi
I twoją nad wiekami roztoczy się łuną!

I nie szydź z nas, nie rzucaj wyzwiskiem potwar-
[czem,

Żeśmy zaznawać twojej niegodni zagłady.
Żeśmy z placu uciekli i w krzyku twych karczem
Czkawką strach zatykali, pijacki i blady.

Nasza młodość przez groby skakała otwarte
Na koniach, którym Farys podkuwał kopyta,
Jeśli padła — to twoim wystrzałem zabita,
Gdyś ją przez pożar świata w noc gnała na wartę.

Kłęski nasze jątrzyły się piętnem głębokiem
I pasły twoją pychę i rosły twą chwałą.

O, nie skażesz nas, ciemna, na nicość przebrzmiałą,
Muzo, jednakim z nami dotknięta wyrokiem!

Nie wygubisz nas z życia, nie wyrwiesz z pamięci
I w głuchą popod światem nie rzucisz nas przepaść,
My wiemy jak iść z tobą, jak kochać i nie paść,
Musem cierpkim rażeni, miłością przeklęci.

Nie zostawimy skarg tu bezradnych po sobie,
Dym pośmiertny nam z imion nie spłynie zaduchem
I dziad kościelny w śmiesznej po requiem żałobie
Naszych świec nie pogasi skórzanym kapciuchem.

Tam gorzeć będzie serce, co sto razy gasło,
I gotowe bić znowu i świecić na przodzie,
Aż inni tutaj staną i ruszą w pochodzie
I powtarzać nas będą, jak śpiew i jak hasło.

MOCHNACKI

W roku 1832 Maurycy Mochnacki
koncertował w Metz

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I zwolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyłączanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.

Rozpędził blade palce świegotem w wiolinie,
I mały smutny strumień z pod ręki mu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawjaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!

Nie. Równo, równo rosną w jakiś smutny taniec,
Rozdrganą klawjaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.

Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci.
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżąca
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc światła w oczach, w czyjejs twarży dołki,
I zapach... białej sukni, ubranej w fijołki.

Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonjer stanęło przy loncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze,
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci.
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświeci.
Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — —

Ostrogą spał melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko —
I ton jeden uparcie wybija — nazwisko!!!

Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy.
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darcie, jękiem,



I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem --
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawiaturę owinąć w sztandary.
Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozplómienia w duszach
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity.
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią.
Aż struna się ugięła, ta w górze, płacziwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakiejś białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! Mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.

Wzrok wlepia martwy, ślepy, w jakiś punkt na
[ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

— — — — —
A on, błady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrział — taką straszną, otwartą powieką,
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się
[porwali:

„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!“

PIŁSUDSKI

Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca
I gałęzie choiny potrąca idąca —
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,
I idzie wprzód jak senna, z rąk tragicznym gestem,
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,
I świt się robi naraz. I staje złękniiony.
Pobladłe Robespierre, cisi, smutni, czarni,
Wychodząc, z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.
Tylko słyhać nóg tupot na ulicy pustej
I szept cichy. Trup jakiś z zbieletemi usty.

I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.
Pod lila abażurem mrugają lampjony.
Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość,
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,
I mazur, biały mazur w ogłupiałej sali:

Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury koralu.
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem.
Hołubce o podłogę wałą, biją grzmotem,
Białe panny i panny niebieskie, różowe
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę
I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro!“
I podają im usta za podane futro.

A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,
Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.

Menuetem się cichym wiolonczela żali,
I białe margrabiny przychodzą z oddali.
Na liljowych oparach spływają bez słowa,
I pannier rozłożyła markiza liljowa.
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!
I tańczą hafty, sprzączki, koronki, plumaże.

A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin
Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.
Drze ciszę dysonansem, wali w okiennice,
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,
Na place rozkrzyczane w potępieńcze ryki,
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:
Otworzyć wszystkie okna!! Niech ludzie zobaczą!!

Wielkimi ulicami morze głów urasta,
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem
I krzykną wielką ciszą... lub głosów miljonem.
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze --

Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!

Marjackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później białą, później amarantem,
Później dzielą się białą i krwią i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą --
A ranek? Mroźny ranek sypie w oczy świtem.

A konie? Konie wałą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterji.
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerji!
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!

A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

* * *

Pytasz, co w mojem życiu z wszystkich rzeczą
[główną?]
Miłość i śmierć, Ci powiem — obydwie zarówno.
Jednej oczu się modrych, drugiej czarnych boję.
Te dwie są me miłości i dwie śmierci moje.

Przez niebo rozgwieżdżone, wpośród nocy czarnej,
To one pędzą wicher międzyplanetarny, —
Ten wicher, co dał w ziemię, aż ludzkość wydała,
Na wieczny smutek duszy, wieczną rozkosz ciała.

Na żarnach dni się miele, dno życia się wierci,
By prawdy się najgłębszej dokopać istnienia —
I jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia.
Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.

LEWA MARSZ!

przekład z W. Majakowskiego

Rozwijajcie się w marszu!
W gadaniach robimy pauzę.
Ciszej tam mówcy!
Dzisiaj
Ma głos
Towarzysz Mauzer.
Dosyć już żyliśmy w glorii
Praw, które dał Adam i Ewa:
Zajeździemy kobyłę historii —
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Błękitnobluzi,
Rwijcie
Za oceany!
Zali się pancernikom na raidzie
Stępiły dzioby ze stali?
Niech się brytyjski lew pręży,
Niech ostrą koroną olśniewa —
Komuny nikt nie zwycięży!
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Za górą klęsk błyszczą zorze,

Słoneczny kraj czeka nowy,
Za głód, za moru morze
Niech zadudni nasz krok miljonowy!
Choć najemna otacza nas banda,
Choć nas potok stalowy zalewa,
Nie zadusi Sowietów Ententa!

Lewa!

Lewa!

Lewa!

Zali wzrok orli zgaśnie?

Czyż ulegniemy w walce!?

Ciaśniej

Ściśnijcie światu na gardle

Proletarjatu palce.

Naprzód pierś podaj nogą,

Niech flaga na niebo zawiewa!

Kto tam znów rusza prawą?

Lewa!

Lewa!

Lewa!

KONTRMARSZ

Włodzimierzowi Majakowskiemu

Hej, ty z wystającymi skułymi,
Z ospowatą gębą,
Gdzie idziesz!
Zagradzam drogę!
Straciłeś tempo,

Zmień nogę.
Kto wciąż na lewo skręca,
Kręci się w kółko.
Gdzie wieszysz, rycerzu gorący,
Krasnoarmiejców pułki?
Choćbyś najbardziej miarowo
Nogą wybijał takt,
Świata nie podbijesz,
Świat nie jest piłką footballową,
Świat się podbija głową! głową! głową!
Fakt.

Ej, bestjo naga!
Zegnij kolana.
Widzisz, jak z wiatru tchem
Igra angielska flaga?
Nie sięgniesz jej, nie chwycisz,
Wysoko nade mną rozwiana
Chorągiew z brytyjskim lwem:
I am British!
Przez morze zła
Na ląd, który widać zdaleka,
Jack London
Lotne przerzuca pontony:
„Prawo białego człowieka“!
Nie wytrzymasz spojrzenia,
Gdy Kipling krzyknie: Stój!
Za mną jest całe plemię,
Goethe jest mój!
Jak pies urwany z powrozu,
Swobodą zachłyśnięty,
Wywalasz ozór.

Za mało jest ryczeć z talentem:
Trzeba mieć rozum.
Spiżowy posąg wolności
Mądrymi się kuje młotami:
Nie wyrzeźbi oblicza ludzkości dynamit.
Dorwał się większej płacy,
Dźwignął się ciężko, mozolnie.
A czy wiesz?
Są tacy,
Co byli zawsze wolni!

Moja armja nie idzie na prawo,
Ani nie idzie na lewo,
Ale, jak dym i lawa,
Tryska do nieba.
My jesteśmy złączeni
Nie cesarską purpurą,
Nie sowieckim sztandarem.
Ale chłodnym bezmiarem
Przestrzeni.
Góra! Góra! Góra!

Okulbaczyć rumaki stalowe,
Na siodła skoczymy w lot!
W tył zwrot!
Gotowe? Gotowe?
W pochód! Ty przodem pójdziesz, Sławo!
Lewą czy prawą, wszystko jedno którą.
Góra! Góra! Góra!

NA ŚMIERĆ PREZYDENTA NARUTOWICZA

Na pluszowej kanapce, wśród ciekawych tłoku,
Jakże długo umierać trzeba od krwotoku.
Jest czasu aż za wiele, by dreszczem odrazy
Wstrząsnęły rzeźby zimne i wielkie obrazy
W ramach złotych spiętrzone, nieruchome twarze,
Zachody, wschody słońca, zamglone pejzaże,
Cisza w polu — wiatr białych nie przegania chmu-
[rek —

Boli — proszę powoli odpinać tużurek...
Czy to pachną perfumy, czy świeże kadzidła?
Ktoś mówi szeptem, biegnie, schodzi z malowidła,
Czarny krzak tui, obok zakurzone palmy.
Czemu jest taka cisza? gdzie żałobne psalmy?
Nie płacz — widzisz, już lepiej — widzisz, że mniej
[krwawi

Może to tylko rana — jutro się poprawi...
Z białej sali szpitalnej w poranek zimowy
Wyjdę o własnej sile szczęśliwy i zdrowy;
Napewno wtedy, zamiast gwizdania ulicy,
Usłyszę jeden okrzyk radosnej stolicy.
Jak pięknie będzie jechać przez miasto powozem...
— Okryjcie mnie futrami, lęk mnie przejął mrozem.
Dzwoni głucho dzwon złoty, omdlały ramiona.
Czy to z rąk Salomei wypadła korona?
Pachną święte oleje, jak wonne olejki —
Czy gniewny Witold z mieczem zszedł z sali
[Matejki?

Ktoś idzie ku mnie, krzyczy — widzę jak tu zmierza;
To żołnierz — szofer wściekle laską w drzwi uderza!

Wpuście go do mnie tutaj; wśród pań z ambasady
Niech z kijem w rękę stanie i od gniewu błądy
Niech on oczy mi zamknie. Niech się dotknie
[powiek
Ręką szorstką, zwyczajny, dobry prosty człowiek.

ŻOŁNIERZ NIEZNANY

Turkot bateryj. Ciężkie tanki
Przez Paryż suną. W jasne słońce
Aeroplany fruną drżące,
Jak górna nuta Marsyljanki.

Szkocki regiment zmienia wartę.
Sztandary! Stój! Prezentuj broń!
Brytyjski lew nad Covent-Garden.
Sam książę Walji chyli skroń.

Brzęczy szablami cały dwór,
Orkiestra hymn zaczyna:
Wśród złota piór na via Cavour
Il Re e la Regina.

Jak trąby złote na pustyni,
Melodja ostra srebrem gra:
„Evviva d'Annunzio e Mussolini,
Evviva nostra libertà“.

Suną dostojne wieńce z blachy,
W powietrzu ważą się zapachy,

Pachnące pęki macierzanki
Płyną z melodią marsyljanki,
Co rośnie, dzwoni, goni wzwyż.
Prezydent Francji zgiął kolana.
I w aureoli dnia złotego
Włoska królowa zapłakana
Składa żołnierski prosty krzyż
Na grób żołnierza nieznanego.

Z pod góry kwiatów, wieńców, wstęg,
Ktoś się podźwiga, słyhać jęk:
Nieznany żołnierz wstał ze snu,
Wonnego w piersi nabrał tchu:

„Mój komendancie, już po wojnie:
Poco mnie wzywasz do apelu,
Pozwól mi teraz spać spokojnie,
Monarcho, przyjacielu.

Z cichego nie rusz mnie ukrycia,
Spójrzysz na pierś mą krwią ociekłą,
Wydam ci za to sekret życia:
Jest piekło.

Nagi z mogilnej wstają pościeli,
Mówię wam, władcy miast rozgwieżdżonych:
Jest piekło dla dręczycieli
I piekło dla umęczonych“.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Z KASYD: NASZA DROGA

Konserwy z chlebem wśród palącego wiosen-
nego wiatru. O zmierzchu zatrzymanie przed
oknem na uśpiony łuk stalowej nieruchomej rzeki.
Stajnie i nocne warty. Król Duch i fiołki na zbo-
czach wzgórz. Polowanie na wszy na łące wio-
sennej, nad zieloną strugą. Nocleg na słomie po
obżarciu się kwaśnym mlekiem. Wschód słońca
poprzez czereśnie kwitnące:

Kwiecień.

Deseń liści kasztanów na letnim nocnym nie-
bie. Gwarzone rozmowy w ciemności nocnych cisz.
Strzały dalekie. Szopen. Może walc Brahmsa?
Fotel wygodny. Wtulenie się. Ukochaność:

Lipiec.

Mieszkanie starodawne. Śniadanie w kółku.
Plotkarstwo gazeciarskie. Deszcze nieznośne. Utra-
cenia się. I odnajdywania się radosne. Intrygi
kulis i redakcyj. Maczanie palców w atramencie.
Lampy elektryczne, oświetlające mgły jesienne.
Bezmierne tęsknoty w pustce arystokratycznych
salonów. Gorączka tworzenia wśród zadymionych
kawiarni:

Grudzień.

Dale niebieskie. Powroty pełne smutku. Walki straszliwe. Sława i zniesławienie. Porty gościnne, białe hotele, rybacy życzliwi. Kapitan okrętowy. Liftboy w hotelu amerykańskim. Rozmowa o Słowackim w Nikaragua. O Staffie w Nagasaki. Kwiaty w Lublinie i w Lualabie. Poprzez żal wieczny — radość żywota. Śmierć na tle szarej fali pianistego morza. Twoje uśmiechy. Spotkanie się „u jednego tylko wejścia“:

Przyszłość.

PIOSENKA DLA ZMARŁEJ

Wszystko jest bez sensu,
Wszystko pogmatwane,
Jak te winorośle
Gąszcze cmentarniane.

Wszystko, co się złączy,
Znowu się rozłączy,
Nakształt pogmatwanych
Na cmentarzach pnączy.

Wśród wielkiej miłości
Wszystko jest poczęte
I wszystko — bez sensu —
Lecz bardzo jest święte.

Która leżysz w trumnie,
Pomiędzy kwiatami

Wiedz, że Dionizos
Modli się za nami.

Wiedz, że przyjdzie święty,
Ramieniem ogarnie,
Wszystkie wytłumaczy
Przebyte męczarnie.

Bo sens nie w szarpaniu
Ani jest w radości,
Ale w cierpliwości
I wielkim czekaniu.

Niech cię więc nie dziwią
Obłoki ni zorze,
Wszystko jest na chwilę
I wszystko jak morze.

Wszystko jest od Boga
I do Boga droga
Jak ta Jakubowa
Drabina uboga.

Niechże cię w grobie
Nic nie niepokoi:
Nocką mroźny miesiąc
Nad mogiłą stoi.

A wiosną — co wiosny
Przez lata i wieki
Kwiaty na mogile
Podniosą powieki.

Wnet pogasną liście —
Wszystko trwa tak krótko —
Ja się też przytulę
Do ziemi cichutko.

Zapomnieni dawno
Wyrośnięm kwiatami,
Bowiem Dionizos
Modli się za nami.

Z CYKLU: LATO 1932

Ziemia kłosami się pochyla,
Niebo gwiazdami się rozżarza,
Przednocna, przezroczyta chwila
Czeka na swego gospodarza.

A on przychodzi niewidzialny,
Ubrany w powłóczyste chłody
I gestem prawie dotykającym
Porusza pola i ogrody.

Nikt nie wie, kto on jest i jaki,
Dlaczego strach i rozkosz nieci,
Czują go tylko nocne ptaki
I przebudzone w nocy dzieci.

Krok jego wierzba wita dreszczem,
Topól schylają się kolumny

I nozdrza, nieświadome jeszcze,
Czują już siana woń i trumny...

Ale noc zawsze dzień przesila,
Nic nigdy ziemi nie przeraża,
Pole kłosami się pochyla,
Niebo gwiazdami się rozżarza.

O POLSKIM ŻOŁNIERZU

Wichurą niesiony przebiegłeś świat,
od tyłu, od tyłu bolesnych lat
w przedziwnym z wolnością przymierzu,
tysiące męczeńskich przebyłeś dróg,
nie wiedząc, kto brat ci, nie znając, kto — wróg,
żołnierzu, polski żołnierzu.
Pod świstem proporców, pod błyskiem pik
ułańsko-strzelecki ulatał krzyk:
„Za Polskę! do szabel! do bronil...“
I zastęp rycerski wyrastał jak łan,
i znowu krwawiła pierś polska od ran,
i mogił przybyło na błoni.
Głęboko pod ziemią zarzewiem tli
skarb drogi przelanej bezcennej twej krwi
na swoim i obcem pobrzeżu,
lecz przyszła godzina, i spełnił się czar,
i buchnął płomieniem tej krwi wolnej żar,
żołnierzu, polski żołnierzu!
Słyszycie? to huczy nad światem sąd,
niewola opada z ludzkości jak trąd,
pękają łańcuchów ogniwa,
przy gromów pomruku, wśród krzyku surm,
ostatni husarski gotuje się szturm,
na skrzydłach do biegu się zrywa.
Nadchodzi godzina, już widać cud

— rozcina wiekowe pieczęcie u wrót
Archanioł w ognistym pancerzu,
a za nim tuż wali zwycięski twój szyk,
pod świstem chorągwi, pod błyskiem pik,
żołnierzu, polski żołnierzu!

BADYLE

Głowę nisko, niziutko pochyle,
by popatrzeć, jak się chwieją badyle;
cała w słuch się i w oko zamienię
i twarz blisko do ziemi przyłożę,
aby wiedzieć, o czym śnią na ugorze
tu i ówdzie leżące kamienie.

Pozostawcie mnie samą na polu:
jedno małe ziarenko kąkolu
jest mi bardziej braterskie, litosne
od Was. Oczy i słuch wciąż natężam,
co dzień zrywam się, padam, zwyciężam,
co dzień korzę się, walczę i rosnę.

Wolę sloty, wolę hałas gromów
od zaduchu Waszych niskich domów,
od powietrza, które duszę ściska.
Tu dzień każdy wznosi coś, coś grzebie,
a nademną po szerokim niebie
z głośnym gwizdem przeganiają wichrzyska.

Puch przelata. Ktoś nieznany sieje
chwasty, zboża, zgony i nadzieje,
pieśni dzikie, śmiałe i żalosne,
a ja coraz szerzej wzrok otwieram,
puch, i pieśni, i nadzieje zbieram
i upadam, i powstaję i — rosnę.

MOWA POSĄGU

1. Pytał się laur głowy, co pod nim schylona:
„O człowieku, człowieku, jakiegoś czynu
[dokonał?
Czy byłeś mieczem wodza, czy też litością
[anioła?
mów, abym się dowiedział, dlaczego przez
[ciebie zginąłem?“
2. I zapłakał w cieniu zielonym człowiek uwieńczon
[przez laury,
mówiąc: „Oto nam obu rozgłośnie grają litaury,
otośmy obaj nad lud na cokole wysokim
[wzniesieni...
Lecz tyś żywy, a ja zimnym tylko jestem
[kamieniem.
Powiem ci, bracie laurze, że, zanim stałem się
[głazem,
wołałem ludzkiej pomocy z serca po wiele razy,
dźwigałem ciężar nad siły, budowałem dom
[sam jeden.

Nikt prócz mnie wiary nie miał. Nikt mi
[pomocy nie dał.
Powiem ci, bracie laurze, — szeptem i tylko
[tobie
— że mię żal gryzł pociemku, zanim mię
[wreszcie dobił.
Było tylu... i takiej mocy! I tak długo koło
[mnie stali,
ażem się w trudzie zniszczył, ogniem się
[w sobie spalił.

3. Przejrzałem mękę Boga, idącą ku swej Golgocie:
wziąłem drewna koniec na ramię, krwiam się
[pod belką napocił!
Pomogłem przez kilka stajań, ciężarum Mu
[umniejszy!...
Wierniejszym był od Piotra, słabszy — niż
[Cyrenejczyk...
Stali koło mnie — mocni, rośli, głowami
[w niebo —
dziwować im się chciało, jak Bóg się pod
[krzyżem grzebał!
Zagładali w twarze nam, pod ciernie, bardzo
[zbliska...
Jam zginął. Bóg poszedł dalej. Skończone
[dziwowisko.
4. O bracie, zielony laurze, znużoną wieńczysz
[głowę...
Kości moje piach miłosierny przytulił
[i pochował,

ale siła została żywa i głaz, którym jestem,
[rozrywa,
bo Bóg się męczy pod krzyżem, pomocy mej
[przyzywa.
Niechże rośli i mocni i mężni nateżą każde
[ścięgno,
do krzyża Chrystusowego miast mnie, umarłego,
[się wprzęgną
— bo laurem, jak gromem rzucę i głaz jak
[dynamitem rozerwę
i spadnę orłem drapieżnym i rwać będę ludzkie
[ścierwał“

MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA)

MORZE

Błyszczą fale niebieskie, fale zielone,
migoczą,
mrugają, jak setki oczu,
miotają się, jak ryby w sieci,
daleko roztoczonej,
i tańczą, i obiecują
szczęście, co śpiewa i świeci,
szczęście! szczęście szalone...
Płyną fale, ciężkie wagą platynową,
uderzają o brzeg,
światło, rozmawiające cichą, srebrną mową,
płynie w morzu tysiącem rzek.
Szklące się skiby
unoszą lekko w górę meduz blade grzyby —
wicher gorzki i świeży
pędzi wodę na piasków kobierce,
uderza nią o brzeg
i mówi, że tak szczęście niedługo uderzy
o czekające, nieruchome serce.
Grają światła milczące kuranty:
— czemuż dnie być nie mają, jak świecące
[brylanty?
Śmieją się wszystkie fale białymi zębami:
— czemuż nie być szczęśliwym dniami i nocami?
Wicher przeszył tęsknotą

ukrytą szczeżuje
stado rybek i muszlę o ustach otwartych,
odmyka księgę morza niebieską i złotą
przewraca jej karty.
Czyta gorzkie nowele, czyta wiersze boże
o miłości i śmierci, ostrzonych, jak noże.
— Bałwan, jak indyk biały,
mokre pióra stroszy,
lecz nie gniewa się na nikogo.
Niebo najwyższą radość odstąpi niedrogo
i nic nie ma przeciw rozkoszy.
Flaga pomostu wieje, z pragnienia aż chora,
każda niebieska strzała chce być strzałą amora,
słońce, jak tęskny kwiatek,
kwitnie w wodnym rowie,
tęsknota, jak puls, bije w wodzie.
Wszystko jest z nami:
piasek chce być sypkiem wezglowiem
dla głów, leżących blisko,
i w głębokiej zgodzie
patrzących w siwe niebo zwężonymi oczami...
Gwiazdki szczęścia na sieciach
brylantowych węcierzy
obiecują, obiecują niezaprzeczenie
że, jak fala o brzegi,
tak krew twoja uderzy
o moje milczące wzruszenie...

BARWY NARODOWE

Białokrwawy,
Krwawobiały, Iniany,
Opatrunku który zwiesz się: sztandar,
Coś się z wielkim krwotokiem uporał!
Wiatr rozwija ten dokument rany,
Wznosi w górę bohaterski bandaż,
Tę pamiątkę,
Ten dług
I ten morał.

LAMENT

Podziurawiona nasza dusza,
 Podarta na strzępy, jak szmata
 Z pysznego niegdyś proporca!
 Kule, bagnety ją poszarpały, —
 Gdzież jest ten krawiec doskonały,
 Co ją napowrót połąta?

Jak ocet — kwaśną mamy duszę,
 Jak Martwe Morze — słońca,
 A jednak przenajśłodszym winem
 Stwórcy przedwieczny z swoim Synem
 Po brzeg nappełnił nam łono!

Gniją nam wszystkie zmysły!
 Zbyt długo grzechom służyły!
 Oczy widziały, uszy słyszały,
 Wargi poczuły, ręce tykały —
 I nie krzyczały i nie szalały,
 Nie pękły, nie pękły nam żyły!

Gdzież jest ten zbawca, co zbawi?
 Gdzie lekarz ten, co uleczy?
 Kowal, co skrzepi, garncarz, co zlepi
 Serca pęknięte, dusze przekłete,
 Zmysły plugawym trądem dotknięte,
 Cały ten rodzaj człowieczy?...

O Boże!

O TY — DALEKA...

O ty — daleka, ty — niezastąpiona,
 Zielona moja ziemia białoruska.
 Gdzieś tam, jak niegdyś, równin twoich łona
 Westchnieniem sennym wiatr wiosenny muska.

Gdzieś tam, nad modrą łąk zalanych tonią
 W zadumie złotej i w szeregu drzemią,
 Skowronki, drążąc drżąca ciszę, dzwonią,
 I szpak polata nad zoraną ziemią.

Szeroko szumią sosny szmaragdowe,
 W ogrodach miękko chwieją się jabłonie,
 I świerk w takt wiatru gnie wyniosłą głowę
 I na tle niebios złotem szyszek płonie.

I cicho stoi biały dom piętrowy,
 Z werandą szklaną i drewnianym gankiem,
 Z uchylonymi drzwiami do połowy,
 Gdzie muchy grać się zwykły wczesnym rankiem.

A ponad domem błękit roześmiany
 Topole prują wierzchołkami trzema,
 A jeszcze wyżej — snują się bociany
 I błyska obłok... Ale mnie tam — niema.

POCHWAŁA STAROŻYTNOŚCI

Starożytność bywa wzruszająca,
Jeśli na nią spojrzeć nowożytnie.
Ma pogodę helleńskiego słońca
I, jak róża z Lacjum, pachnie i kwitnie...

Wskrzesa pisarz, gramatyką zatruty,
Gdy do niego wracamy po szkole,
Zapomniawszy wszystkie „cumy“ i „uty“,
Wykuwane w beznadziejnym mozole.

Pierzcha mgła potępieńczych prawideł,
Ginie z mora konjugacji piekielnych
I natchnienie znów dostaje skrzydeł
Wiecznie młodych, wiecznie nieśmiertelnych.

To, co grozą mroziło nas ongi,
Dziś uśmiechać się cudnie poczyna.
Wyciągają ku nam ręce posągi,
Jak zabawy spragniona dziewczyna.

Dawna miłość ma dzisiaj czar świeży
I wybucha ogniem nowych pożarów.
Brzmią fujarki arkadyjskich pasterzy,
Pachną róże w ogrodach cesarów...

PARABOLA O BIAŁYM ORLE

Daremnie chcieli zbrukać Jego pióra śnieżne
i dumne, orle serce zamienić w gołębie...
Mając nad sobą niebo jasne i bezbrzeżne
bez obawy w otchłanie spoglądał i głębie...
Małym zda się patrzącym ze śmietnika kurom
Pogardza krwiożerczością jastrzębi zuchwałych...
Ale urąga czarnym chmurom i wichurom
i żadna z burz nie złamie Jego skrzydeł białych...

KOŃ I JEGO RZĄD

Był koń ogromnie dumny stąd,
że umiał zrzucić każdy rząd,
choćby przez niego był wybrany.
Stanąwszy dęba, dziko rżał,
potem naoślep naprzód rwał,
zły, narowisty, rozwierzgany.

Chociaż przepaście były wkrag,
choć trzeba było mocnych rąk,
aby nie złamać karku marnie,
każdy się jego złości bał,
nawet rząd na nim z lękiem drżał,
a on ponosił wciąż bezkarnie...

Rzekł Pan: „Niech twój rozstrzygnie sąd!
Sam sobie, koniu, dobiez rząd,
lecz go szanować musisz potem.
Nie wolno ci ponosić w dal...
Ręka ma będzie, jako stal...
Pamiętaj, mój wierzchowcze, o tem“.

Koń wybrał rząd — i znowu w płacz:
„Mój panie — zmienić rząd ten racz,
albowiem nazbyt mnie uwiera...
To, o co proszę — zaraz zrób.
Od jazdy miłszy mi jest złób;
oszczędność w żłobie zbyt doskwiera!“

Rzekł Pan, którego zdjęła złość:
„Masz dobry rząd, wierzenia dość...
Choć twe narowy dotąd zniosłem,
zadużo już. Przepaści wkraśl
Okiełznam cię mocą mych rąk,
jeżeliś koniem jest — nie osłem...“

POWSZECHNE ROZBROJENIE

Zwierzęta — krwawe rabusie
i zwierzęta — ciche trusie
powzięły ważne uchwały...
Skoro wszystkie się rozbroją
i te co straszą i te co się boją —
szczęśliwy będzie świat cały.

Zając, mówca generalny,
miał dyskurs sentymentalny
na temat wojny, utrapienia świata...
„Odrzućmy“ — wołał — „rogi“, kły, pazury,
[ostre —
niech lew miłuje Bawołu, jak brata,
a Tygrys Gazelę, jak siostrę..“

Zaczęła się dyskusja... Od mówców się roi.
Rozbroić pragną się wszystkie zwierzęta.
Jedna jest tylko rzecz nierozstrzygnięta:
które się pierwsze rozbroi?..

Jeleń do wilka powiada smętnie:
„Powszechny pokój się ziści —
rogów i kopyt pozbędę się chętnie,
ale wpierw tobie zęby niech wyrwą dentyści!...“

Wilk zaś na to głową kiwa:
„Mówisz od rzeczy...
Dziś nikt zębów nie wrywa,
tylko je leczy...“

I uchwałyły zgodnie zebrane zwierzęta
pakt, od którego cały świat się uspokoi...
Drobna rzecz tylko nadal jest nierozstrzygnięta:
które się pierwsze rozbroi?..

CZĘŚĆ TRZECIA

JERZY LIEBERT

NA FUJARCE

Komużeś ty potrzebne,
Nieróbstwo moje śpiewne,
Słówka, zda się, konieczne —
Zbyteczne wy, zbyteczne.

Liryczne, ptasie nutki,
Po których wtór króciutki,
Rzucane pokryjomu —
Każdemu i nikomu.

Niewiele ich, niewiele,
Ale są czyste trele,
Niezbędne, wiem, konieczne —
Światu nieużyteczne.

W drewno liche dmucham,
Z rozpaczą nutek słucham...
Namawiam świat daremnie —
Obywa się bezemnie.

PASTERKA

Bratu

Ptaki niby dzwoneczki cieszą się kolendą —
Chrystus nam się narodził i nowe dni będą.

Do stajni betlejemskiej aż od brzegów Wisły
Z ptakami smukłe sarny dziwować się przyszły.

Wiewiórka zęby szczyrzy i w niebo się patrzy,
Jak dwa gołębnie płyną na błękitnej tarczy.

I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy,
Niosą myrrhę, kadzidło i złote kielichy.

I pawie przyfrunęły z krajów cudzoziemskich,
By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.

A mały Chrystus smutny w drzwi patrzy i czeka,
By pośród witających zobaczyć człowieka...

VENI SANCTE SPIRITUS

Nie — iżbym niemoc krył, czuł w sercu lęk,
Gdy chcę, byś na mnie, gołąb — spadł.
Lecz byś wypełnił sobą kształt,
Gdy tu udziałem moim dźwięk.

Jeżeli wzywam spłyn! — to nie, bym zgłuchł
I niemy czekał na słów dar,
Ale bym twoich dopadł miar,
Których nam skąpisz tutaj — Duch!

Ptaka Świętego, zatocz krąg i lot swój zniż,
Ufajacemu tu — ślij znak!
Bo niech mi tylko łask twych brak,
Już pusty stoję — ludzki krzyż.

W trzepocie piór, ach, stań i radę nieś,
Ześ fruwnący głos — więc mów!
Trzeba, niech grozy doznam słów,
Gdy tu udziałem moim pieśń!

Któryś jest sam wysoki ton i kształt
I z Ojcem, z Synem dzielisz rząd —
Nie daj, bym precz szedł darmo stąd,
Bo chcę, byś na mnie, gołąb — spadł!

KOŁYSANKA JODŁOWA

Dr. Zygmuntowi Żółcińskiemu

Koniec wróża lekarze.
Przyjechała rodzina,
Sfrasowani grabarze
Męża, brata i syna.

Słońce mocno przypieka,
Każdy atom rozkłada —
Jakąś resztkę człowieka,
Kosmicznego owadu.

Resztką życia kołata,
Lecz już płuca wyplute.,
Jeszcze jeden dzień lata
Gruźlikowi nad Prutem.

A tu z każdym dniem jodły
Stokroć w lipcu wonniejsze...
Cóż, i jodły zawiodły,
Nie pomogło powietrze.



W termometrze rtęć skoczna
Jutro się uspokoi.
Z próżnią przykro widoczną
Przestrzeń wnet się oswoi.

Poprzez wonność jodłową
Pójdą, każde w swą stronę,
Ciało, — w ziemię lipcową,
Dusza w góry zielone.

JAN ZAHRADNIK

KOLUMB NA MORZU

W dróg niepowrocie i w majestacie rozpiętych
[żagli,
Ludzie nieznani, bardzo samotni, bardzo omdlali,
Wybladli z głodu, od wichrów szorstcy, od słońca
[smagli,
Płyniemy, dokąd dal nas poniesie i jeszcze dalej...

Morze narasta coraz i rykiem grozi przeciągłym,
Albo się fale w złowrogiej ciszy do siebie tulą, —
Ale widnokrąg znaczy się jasno łukiem okrągłym
I słońce w przepaść wód wpada: ziemio, musisz
[być kulą!

Są sny niekiedy bardziej, niż jawa wszelka
[przytomne;
Są duchy, których czas nie zadławi, duchów
[morderca;
Są czasem wole tak rozpętane i tak niezłomne,
Że ich nie struje nawet podstępny, cichy jad
[serca...

Serce, bądź twarde! — i raczej w sromu pożarze
[spłoń mi,
Niżbym cię widział, że się niezgasłym zniczem
[nie żarzysz! —

Nic to, choć zginie z zaciśniętymi bluźnierczo
[dłońmi
Jeden po drugim, aż do ostatka, żeglarz-towarzysz.

Ja sam zostanę i moja ze mną myśl nierozumna,
Ja sam popłynę w niedoścignionym ducha
rozpędzie!
Choćby mnie poniósł okręt szerniały, niemy, jak
[trumna,
Ku brzegom, których na tym tu świecie nigdy nie
[będzie.

Czas mi i przestrzeń pokruszy, pożre maszty
[i reje,
Jeno się liny, zbłąkane w wodzie, smutnie rozplotą,
Słońce mnie spali, ciężar mórz zmiążdży, wicher
[rozwieje,
Aż się sam własną, nienasyconą stanę tęsknotą...

Aż wieczna burza na podróż wieczną mną
[zakołysze,
Aż mnie poniesie fala za falą, fala na fali,
Aż mnie ogarnie morze nad morza, cisza nad
[cisze —
Głębia narasta i płynie z nami dalej i dalej...

NIKOGO SIĘ NIE LĘKAM

Nikogo się nie lękam, niczemu się nie dziwię,
Chyba tym gwiazdom cichym, że milczą tam
[prawdziwie

I rzece, że tak w siebie wpatrzyła się głęboko
I własnym, przyśpieszonym nie wiedzieć dokąd
[krokom...

Albo tym mrącym oczom, że pragną
[zmartwychwstania,
Choć wielki zegar życia wciąż tylko śmierć
[wydzwania
I sercu, że nie wierzy w tę śmierć i dotąd nie wie,
Czy lepiej w ludzkiej piersi, czy w niemym
[szumieć drzewie.

WAKACJE

Jesteśmy zupełnie bronzowi i pełni radosnej trwogi,
bolą nas wszystkie mięśnie, a nie chcą ustać nogi.

Jesteśmy zupełnie niemądrzy, śmiejemy się z byle
[czego.
Nic nas zasmucić nie może i nic powstrzymać
[w biegu.

Kiedy się słońce stacza i topi w śniadych cieniach,
już nie chodzimy po ziemi, lecz po palących
[płomieniach.

Okrągłą, twardą piłkę ciskamy mocno do góry,
jemy kremowe lody i słodkie konfitury.

Z floweru, zamiast do celu, walimy prosto do
[nieba.
Nie można nastarczyć nam mleka i razowego
[chleba.

Pryskamy na siebie w rzece chłodną, wesołą wodą,
suszymy się, jak ręcznikiem, pachnącą sianem
[pogodą.

Pieścimy psy i króliki, karmimy jabłkami dzieci,
wiatr tylko od nas prędzej i jeszcze prędzej czas
[leci.

Pędzimy przez dni coraz krótsze, przeskakujemy
[przez noc.
Życie jest bardzo zdyszane, ma smak i zapach
[owoców.

Ranek się gubi w wieczorze, wieczory się budzą
[w porankach.
Prażymy się w słońcu na górcze, na mchach
[i macierzankach.

Gdy las nas nagle zatapia, konamy prawie
[z przestachu,
w nozdrza wciąż bije nam fala tysiącznych
[mocnych zapachów.

Tak gorzko pachną piołuny, a rzeźwo rzeczne
[szuwały.
Płozymy zielone żabki i nudne brzękliwe komary.

Zmęczenie nam wiąże członki, układa nas na
[sianie,
a potem wybucha śmiechem i znika
[niespodziewanie.

Oczy nam prawie oślepiły od słońca, barw
[i kolorów,
staczamy się, jak do wody, w rosistą ciszę
[wieczorów.

To nic, że miną wakacje, że kiedyś przyjdzie
[jesień,
że czas nas weźmie, rozdzieli, zmęczy i dalej
[uniesie.

Życie jest także ciekawe, a przecie dojdziemy
[do końca.
Słaniamy się słabi od śmiechu, zupełnie pijani od
[słońca.

Dziś mamy lato na ziemi i letnie słońce na górze,
kończymy się cali bez reszty na ciepłej różowej
[skórce.

JAN BRZECHWA

EKSPRES

P. Kazimierze Rychterównie

Stuk szyn,
Stuk szyn,
Dym bucha,
Dym bucha,
Trzask,
Blask,
Z szumem i z sykiem
Jak huczna zawierucha,
Nie stając przed nikim
Ekspres przez kres przelata,
Jak widmo z poza świata,
które sam szatan wygnał —
Wiatr-nie-wiatr, sygnał-nie-sygnał,
Tunel, czy most,
Pędzi naośle, nawprost,
Jakgdyby kamień wyrzucony z procy,
Leci w samo serce nocy.

Wślizguje się w przestrzeń jak wąż
Błyskawicznie,
Stuk szyn wciąż
Wygina się rytmicznie
Na zakrętach bezkresu,
W jakieś „impromtu“ ekspresu.

— — — — —
— Mała Księżniczka w przedziale
Rozplata włosy niedbale,

Pograżona w spleen,
W takt stuku szyn.

Stuk szyn,
Stuk szyn,
Stacje lecą jak te ćmy,
Kto ma jechać? My,
Czy wy?
Po co
Nocą
Tym ekspresem
Szalejemy nad bezkresem?
Mamy-ż dotrzeć w tej agonji
Do Japonji,
Czy do Chin
W takt stuku szyn?

Co się stało? Co się stało?
Coś się w świecie naderwało?
Skąd ten rozpęd, skąd ten pęd?
Tunel, sygnał, most czy skręt,
Nie czas wracać już napowrót —
Coś porwało nas w kołowrót,
Szyby brzęczą,
Szyby jęczą,
Szybkim szumem ekspres dudni,
Już go wstrzymać coraz trudniej,
A tu znowu skręt i most:
Czy w bok jechać, czy nawprost?

Plątanina szyn się wikła,
Będzie stacja! Była! Znikła!
Prędzej, prędzej póki czas,

Tu jest las i tam jest las,
A za lasem, a za kresem
Ktoś w przedziale mknie ekspresem —
Wy, czy my? Wy, czy my?
— Iskry lecą jak te ćmy.

Tutaj tunel go połknął, a tam już wypluwa,
Błyskawicznie się posuwa,
Most przeskoczył,
W mrok się stoczył,
Dymem obłok przeobłoczył,
Naprzód, naprzód, naprzód wciąż,
Jak stalowy, giętki wąż.
I szynami
Pod kołami
Bez przestanku, bez antraktu,
Gra tak tu
Do taktu...

Wkołysana w spleen,
Mała Księżniczka w przedziale
Jeżdżąc po świecie bezdomnie,
W takt — stuku szyn —
Umarła z tęsknoty po mnie...

PRZYMIERZE

Przyjdź do mnie, mój nieznanym, nieprzejednany
[wrogu,
Swe ciało rozłóż przy mnie na twardym mym
[barłogu,

W ciemnościach nie rozpoznam nienawidzącej
[twarzy,
Niech tylko ciemność moja twym oczom się
[nadarzy;

Nie poznam cię z milczenia, jak nie znam cię
[z imienia,
Milczenie bywa wieczne, a imię czas odmienia —

Nie będę pytał o to, kto nam przymierze ziści,
Chcę tylko, byś odpoczął od męki nienawiści.

Przyjdź do mnie, mój nieznany, nieprzejednany
[wrogu,
Rozwarte są drzwi moje i noc uklękła w progu,

I upływają lata, lecz im się nie sprzeciwię,
Chociażbym krew i ciało miał oddać w tym
[upływie.

Daleka jest modlitwa, lecz wiara ją przybliża
I do mnie, i do ciebie i do bożego krzyża...

Niech upływają lata — mnie wieczność nie
[zastrasza:
Garść ziemi i garść nieba — i oto sprawa nasza...

Gdy księżyc się rozkrwawi purpurą i cynobrem
Położę moje usta na sercu twem niedobrem,

I to niedobre serce miłością swą uświęcę,
I złożę je w kochane, niepożegnane ręce.

Przyjdź do mnie, mój nieznany, nieprzejednany
[wrogu,
Opowiem ci o sobie, o ludziach i o Bogu,
I z tobą na tej ziemi pod wkłęsłem naszym
[niebem
Największą tajemnicą podzielę się, jak chlebem,
I nawet nie zapytam, kto nam przymierze ziści:
— Chcę tylko, byś odpoczął od męki nienawiści.

NIE JESTEM Z JEGO TYSIĄCA

Nie jestem z Jego tysiąca — jestem z Jego
[miljonów,
Bóg pożądał mi szczęścia być żołnierzem
[legjonów,
Nie mam w żelaznej odznace dwóch
[najpiękniejszych liter,
Litery te z lewej strony noszę w sercu wryte.

Nie byłem Mu przyjacielem, ni towarzyszem broni,
Gdy przyszłość kładła się wiernie chmurą na Jego
[skroni.
Nie mam nawet tej wstążki, tej granatowo-czarnej:
Marnym byłem żołnierzem i miałem żywot marny.

Marnym byłem żołnierzem, lecz dotąd dumny
[chodzę,
Że szary mundur nosiłem, wtedy gdy On był
[wodzem,

Że dzisiaj z rozdartem sercem, przy najsmutniejszej
[trumnie,
Płacze się tak prawdziwie. I gorzko. I tak —
[dumnie.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

PRACA

Prężą się, tężą gumy mięśni,
Nabrzmiwa bryłą siły opłątana
Przezięta tułów.

Ośmiogodzinnej pracy kowadło
Iskrami sekund pryska i łśni.
Młoty roboty druzgoczą kadłub
Tępych, ospałych, leniwych dni.

Buch! — młotem w lewo, buch! — młotem
[w prawo!

Złoty miód potu namaszcza skronie.
Sława robotcie, potowi sława,
Sława zgrubiałej, chropawej dłoni!

MAZOWSZE

Konstantemu I. Gałczyńskiemu

Kocham ciebie, pszenka i niebieska,
Jak wiosenny nów,
Czarnoziemna ziemia mazowiecka,
Hodowniczko krów.

Kocham ciebie ślepem miłowaniem,
Jak żelazny pług.
Wiem jak miłe kołom całowanie
Twych dalekich dróg.

Wiem jak słodko czerstwym gospodarzom
W żyłach czuć twój rok,
Widzieć maki, co się w słońcu jarzą,
Jasność twą i mrok.

Kiedy ksiądz powiada: „Pax vobiscum“,
Ty w spokoju śpisz,
Każda krowa żuje w ciepłym pysku
Trawę bożych cisz.

Kocham burze twoje potępieńcze,
Wiatr, co w rżyskach rży,
Łuk Najświętszej Marji Panny — tęczę,
Szkiełka ros — Jej lzy.

GARNEK MLEKA

Na półce w poszczerbionym garnku dary krowie
Udojem parnym pachną, ciepłą sierścią siana,
W palonej glinie błyszczą tłuste, białe zdrowie,
Tężyzna z pełnych wymion w pusty garnek zлана.

Za oknem lepki lipiec lipom liście miodni,
Doskwiera skwarem słońce lśniące złotym dzbanem.

A w garnku mleka ustom rozpalonym chłodniej,
Niżli kubłowi w głębi studni cembrowanej.

Odbite w mleku lato białe jest jak zima.
Dopiero trzeba oczy wydrzeć z mlecznej toni,
By ujrzeć jak się lipiec w sine szyby wrzyna,
Pasący się na łonach łąk czerwonym koniem.

Gdy młoda gospodyni raczy mlekiem męża,
Uśmiecha się jak mądra, miodna młódka-Łada
I dzwoni koralami, których krągły ciężar
Na piersi jej spragnione niemowlęcia spada.

Tyle w tem wszystkim Piasta, ile pszczoł na
[barci,
Stąd wszystkie ścieżki prosto ku miłości wiodą...
Na Polsce, jak na kiju apostolskim, wsparci,
Zlejmy się z nią, jak mleko zlewa się z pogodą.

Z poematu: Powrót na Powiśle

WISŁA — STAL

Gdzieś blisko
pysk wichury jak miech odsapnął.
I już smagłe wikliny — napłask.
Kudły chmur — — — nisko.
Jeżą brzegi szczecinę łóz brwi.

Pluskiem o burty portu uderza Wisła.
Aż zzieleniała woda. Nurt się zmarszczył
w brózdy.

Wre.
W topieli — jak w garnku barszczu.
Wrzątkiem w oczy parska,
jakgdyby
garścią w ukrop sypnął kto soli.

Kłusują siwych wełn grzywy
niczem po Mokotowskim Polu.

Wtem —
wiatr płomień z chmur karku zdarł,
wyczesując pęk złotych włosów.
I — chlust ogniem w kipiący war,
aż zaskwierczał djabelski rosół.

Znow.

I salwy łoskotem się zwałił
grom
w nurt teraz bardziej siny od stali.

VI

...hydrauliczne porównania nasuwają się pod pióro
zawsze, ilekroć jest mowa o tłumie.

G. Tarde.

Jak wyrazić ten obraz? Jakże to wysłowić,
co do dziś jeszcze w gardle zaciśniętym dławi?
Z oficyn, z facyjatek, z suteryn Warszawy
miasto prądem wzniesionych wód zalała powódź:
Fabryczną, Przemysłową, przez Ludną,

[Rozbratem —
bystrymi potokami spływał szary potop,
staczał się korytami, bił w kamienny zator,
parł z hukiem w czerniakowskie łożysko — i oto
płyńie majestatyczny, szumiąc ludzkim gwarem.

Tego dnia szliśmy z ojcem pod krwawym
[sztandarem.

Sztandar barwistym ptakiem łopotał na wietrze —
uwięziony nad drzewcem, ważąc się do lotu,
opadał, wzbijał znowu w wiosenne powietrze,
broczącymi skrzydłami tłukł o gwoździe — gotów.
przed spienionym nawałem pochodu sam —

[pierwszy
drapieżnie się szponami wpić we wrogie piersi.

Ten, co drzewce sztandaru niósł w ściśniętych
[dłoniach —
miał spiżowy kowala tors i śnieg na skroniach.
Tuż za nim młody ślusarz szedł z chłopcem
[u boku —
a dalej grzmiał rytm twardych, skandowanych
[kroków
pochylonych stolarzy, garbarzy, giserów
i tych, co młotem kruszą kamienie na drogach —
brukarzy, stróżów nocnych, cieśli, tapicerów,
kowali na wygiętych u kowadła nogach,
ślusarzy, mechaników, blacharzy, tokarzy,
garbatych szewców, krawców, bronzowych
[piaskarzy,
murarzy i — ktoby ich spamiętał...

Szli tłumem.
Ci — z szlifierni, co w płuca łykają pył szklany,
raz może odetchnęli powiewem wiślanym.
Co było w twarzach szklarzy, — wyrazić nie
[umiem.

Tytuniowe dziewczęta o łzawych źrenicach
furkotały pod murem w kwiecistych spódnicach,
niosąc chmurę zwichrzonych włosów wśród
[kaszketów
prostokątnych jak szafy tragarzy.

Ile tu
na rusztach oczu żaru i mrocznej zawiei —
o tem w aktach: co druga twarz, to twarz Okrzei.

Na Książęcej z szpitalnej zieleni ogrodów
sfrunął okwiat majowy na plecy pochodu:

niejeden, omuśnięty lekkim puchem woni,
rozpiął bluzę i piersi na słońce odsłonił.

Stąd potok głów wbrew starym nawykom natury
niewstrzymanym zalewem wspinał się do góry —
i wlewał w grdykę placu, podmywając kościół,
aż z krucht szept stuł szeleścił—bożebądźmiłościw.
Zwieszona na balkonach różowe falbanki
załamywały dłonie w patetycznym geście,
trzęsły się wagi w sklepach, kołysały banki,
chwiały domy handlowe i więzienia w mieście.
Ordery policmajstra grzęzły w telefonie,
mdlał kupiec win na Brackiej, piejąc rzewnie:
[koniec!

Bo oto pieśń runęła jak orkan w ulice.

Z szumem zbrukanych skrzydeł u wyniosłych bark,
miotając słowa-ogień ze spieczonych warg,
szła przodem przed gromadą gniewna buntownica:

WARSZAWIANKA 905

„Przez miasto tłum z zapartym tchem prze:
pierś każda starczy za mur tarcz!
Kły luf od spojrzeń szpiclów tępsze
krwią znaczą nasz zwycięski marsz —
ostatni nasz żelazny marsz!

Nie zdławi nas bagnetów ostrze,
żołdackie kolby, chamski but, —
zwycięstwa znak nas będzie wiódł,
gdy Warszawa sztandar swój rozpostrze!

Powisłe! młoty w garść!...

— — — —
— — — —
— — — —“

STANISŁAW CIESIELCZUK

ZWYCZAJNOŚĆ

Zwyczajność gada świeżością żywą,
Zwyczajność chucha sosnowym wiewem.
Spływa ze słońca ciepła prawdziwość,
Chłop karmi rolę ziarnistym siewem.

Zwyczajność barw się falami śmieje
Piękniej, niż promień w oczach przyzmatu.
Poranki żytem kwitnącem dniają,
Sinawym różem wstają nad światem.

Pachną w odejściu codzienne zorze,
A zmienność śpiewa tak jednostajnie,
Jak przytulone do wiatru zboże...
O, jak to dobrze jej żyć zwyczajnie!

ŻNIWA ODCHODZĄ

Już do stodół jedzie reszta zboża,
Jadą snopy na furach kłosiste.
Jak rumiany, łuniejący pożar
Wdal odchodzi słońce żniw złocistych.

Z pól powiało dożynkowym śpiewem —
Gdym był dzieckiem, taki śpiew słyszałem.
Czy to było przed wiekami? Nie wiem.
Wierzyby wtedy tak samo szumiały.

Z bólu ziemi kłós się rodzi wszelki,
Prosta radość rośnie w sercu z cierpień.
Półksiężycem w komorze u belki
Do żniw nowych wiś, błyszczący sierpiał

DWA EKSTREMY

I

W nieobliczalnej bytu przygodzie,
Której bezimię —
Przeolbrzymie,
Ludzki się mózg przerodzi.

Hazardujący myśli wiarą,
Ocknienia wieków
Pij, człowieku:
Tyś — przyszły pan bezmiarów!

Sfora gwiazd ręce twoje liże:
Wie, że twa droga —
Na tron Boga,
A stamtąd — jeszcze wyżej!

II

Myśl zwalczy żywioł? Ależ ona —
Przez żywioł pogwałcona
Sto razy, zanim
Raz go zrani.

Wstają, padają pokolenia —
Cóż się naprawdę zmienia?
Nic. Ten sam dramat.
Gra ta sama.

Mózg — to męczeństwem, to błazenstwem —
Broni się przed szaleństwem,
Aż krzyknie: Pleń się,
Śnie-bezsensie!

ITAKA CONRADA

Wróć — wołają mnie — z Kent, z ziemi cudzej,
[z Westminsteru!
Marynarzu — wołają — prędzej do koła!
Wróć Admirale nasz Pierwszy — wołają — do
[steru!
aż drgnąłem w ziemi trup, drgnął grób.
Kto woła?

Był, co natęzał słuch skroś suchego przestwór
[oceanu...
Cisza mu z Litwy więcej niż mróz wiała
[przeraźliwa...
A teraz w kości moje z pod obcego kurhanu
wiatr ojczyzny dalekiej dmie i po imieniu je
[wzywa.

Tom z emigrantów wielu ostatni już chyba
[pielgrzym,
którego gdzieś w bryzę nadbałtycką wplątane
[przywołują mewy,
którego celem nie była Parana, Paryż, Ziemia
[Święta, nawet nie Rzym...
Ach, gdzież wy teraz lata moje dalekie i horyzonty
[jeszcze dalsze — gdzie wy? —

Poderwały mnie wtedy akordami z ziemi
[wybuchające wiatry,
otworzyły się nade mną ojczyście na widnokręgach
[chmury,
że jak powietrzem wypełniłem sobą przestwór
[otwarty
aż do najdalszej granicy „Stwórcy i Natury“...

Hic obiit Gustavus. Conradus natus est nie na
[kartach stronic,
ale na wód i lądów kołowaniu obłądnem.
Tam pędem kopyt skrzydlatych w przestrzeniach
[dzwonić
i jak sto strun sto dróg drgać zaczęło i serce
[walić jak bęben!

I myśl rozkuta z nałogów i od przesądów wolna
powiała nad ogromem zjawisk i zdarzeń myślą
[niewymiernych:
na morzach podróżowałem nie mniej, niż Jan
[z Kolna,
i w gwiazdy się wpatrywałem nie mniej, niż
[Kopernik...

Wszędzie, wszędzie szukałem, na wszystkich
[świata bezdrożach.
Milczał, jak cień, Lingard, Peyrol, Nostromo i Heyst
[i Jim i wielu jeszcze z napotkanych szeregu...
Tylko szkwał w odpowiedzi dmuchał nagle
[w powierzchnię morza
i skrzydło wody wrzące odrzucał do obfitego
gdzieś w algi i przewierścienie brzegu.

Próżno portu wypatrywałem zapatrzeniem dalekim.
Myślałem ,że już do żadnego nie przycumuję lądu,
[zanim umrę,
i że żaden z cieni spotkanych, z których każdy
[niewolnikiem był więcej, niż wolnym człowiekiem,
garści oceanu gorzkiego, zamiast piasku, nie rzuci
[wolnemu na trumnę...

— Wróc — wołają — na ląd — wołaniem jak
[ogniem —
spocząc w wolnej ziemi rodzimej jak w kolebce! —
teraz, gdym wreszcie znalazł, choć długo nie
[mogłem,
ląd stały, kraj jedyny — własne moje serce.

C Z A S

Cofnąć dzień, ach, zatrzymać te wściekłe godziny,
te sekundy w galopie, te tętniące chwile!
Czas wysuwa się ze mnie jak z własnej przyczyny
i zostawia mnie za mną o lata i mile.

Jeszcze dawność przeżywam jak sny najlaskawsze,
w pęcherzykach płuc przeszłe kołysząc powietrze,
lecz już czuję się w tamtem stracony nazawsze,
wciąż bardziej oddalony o czas, niż o przestrzeń.

Krew pod skórą melodią opływa mnie czułą,
lecz dnem płynnej istoty rwą sekundy zimne.

Samo ze mnie się groźną ciągłością wysnuło
tragiczne niewstrzymane, konieczne, wciąż inne.

Wrogie! słojami wewnątrz układa się drzewa,
rośliny wyprowadza z trumiennego pudła —
strumieniem się mną ze mnie samego wylewa,
że odchodzę od siebie jak woda od źródła.

O, szkielecie wszechświata! O, wieczna
[przepastność!
Kręgosłupie lat w bezmiar rosnący daleki!
Zapomnienie mnie z ziemi zabiera na własność,
odrywa bezpowrotnie jak łzę od powieki.

piłsudski

śnieżne konie śnieżycą po świętym marcinie
zamieć dom tratowała a dom mocny wytrwał
dawny czas w zegarach szafach skrzyniach
litwa litwa

pryzmaty dachów tkwiły na wonnych ścian zrębie
dachy strzegły i drzwi i serca okiennic
ganek raźnie skrzykiwał do siebie gołębie
prowadząc na ogródek ze sosnowej sieni

jezioro sine wolno szło do brzegu
usypiając fale jak dzieci
w domu dzieci bez kołyszek kołysał z pod śniegów
jęczący nieustannie rok 63

inny teraz rok czoło marszczy się inaczej
rusztowania maszty na 20 pięter mur
czerwony ołówek to polityki karabin
przekreślił pozycję starej rozpaczy
organizować cyfry znaczy prowadzić szturm

czyżby koniec na akcjach gumy i jedwabiu
ile milionów rocznie bluzgają nafciane wieże
iloma miliardami fabryki gwizdzą i rzą

a jego nie zmierzyć
on jest on

nie deszcz kwiecica czeremchy siny mundur oblepił
krzyżów orderów gwiazd na piersiach jezioro
[więc srebrno
dom na litwie belweder gorzej albo lepiej
może wszystko jedno

sercem zagrać na mapach jak czerwienną kartą
stuka pod wstęgą drgnęło zabolalo
stukającym będzie otwarto
stukać czy nie zamało

działa bagnety niki to było 10 lat
przygasły wybuchy śmierć ogniste smugi grzywy
westchnieniem maszyn w tęgim znoju
oddychają za miastem niwy
domy ceglane chaty łakną chleba pokoju

belweder to także dom stary biały jak księżyc
dwoje w nim oczu a tyle światła
patrz nocą na tym domu widać jak ziemia cięży
tam dźwiga ją na barach atlas

przez kresy

monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa razporaz rytmem
koła koła
zioła

terkocze senne półzycie
drożyną leśną łakową

dołem dołem
połem

nad wieczorem o rżyska zawadza
księżyc ciemny czerwony
wołam
złoty kołacz

nic niema nawet snu tylko kół skrzyp
mgława noc jawa rozlewna
wołam kołacz złoty
wołam koła dołem połem kołacz złoty

WŁADYSŁAW SEBYŁA

S Z T A B

Na wielkiej mapie leżysz, na dokładnym planie.
I rzucasz w ogień swoje żelazne kompanje.

Tu są świecące szyny, a tu — bita szosa.
Tam ciurkiem ciekłą ścieżki, tam są pola
[w kłosach.

Tu szumi las zielenią, a rzeka błękitem.
Tam są łąki, mokradła, błota nieprzebyte.
Tu grunt spękał w wąwozy, rowy i kanały,
A nad tobą jest niebo, chmurami podarte
[w kawały:

W mroźne, zimowe noce i letnie południa
Dyszająca gwiazd oddechem niezgłębiona studnia.

Już ci ożyła mapa. Jest jak kawał ziemi,
Wyrwany z globu groźnym kopnięciem trzęsienia.
Jak bóg, z niezmiernego patrzysz na nią
[oddalenia.

I grzmotem ją tratujesz — i burzą płomieni.

Już się gotuje ziemia, już się ziemia pali.
Płyną zatrute chmury, siecze deszcz ze stali.
Za tym wzgórkiem pochyłym, za lasem wesołym
Haubice zaryją się w rolę jak woły.
I zaczyną stękać ciężko, aż ziemia zadudni.
Żelazo rzygnie w niebo, jak woda ze studni.

Na tych łąkach kwiecistych, po pas w lepkim
[błocie,
Wypadnie beznadziejnie trwać szarej piechocie,
Wypadnie szarym ludziom łązić, gwarzyć, kurzyć,
Strzelać i konać w szumie oszalałej burzy.
W tym zagajniku młodym, w metalowym świście,
Jak kurz z drzew sypną batem kul zsieczone liście:
Tam się trawę zapali, ziemię się zapali,
Żywa dusza nie przejdzie, kret się nie ocali.

A w te na ornem polu zasięki i druty
Rzuci się grad granatów zwykłych i zatrutych,
Aż czarnoziem czarnymi fontannami buchnie,
Żołnierz skołowacieje, osłepnie, ogłuchnie...
I przejdą po nim dymy, napojone gazem,
Zmiażdżą go gąsienice czołgów tonnami żelaza,
Skłują wściekle kompanje nożem i bagnietem...
A potem doktor przyjdzie z płótnem i lancetem
Zszywać poprute ścięga, pchać kiszki do
[brzucha,
I chwytać śmierć za włosy, czy życie tli, słuchać.

Nad zieloną równiną, w złotej mgłę wieczoru,
Popłyną zgniłe chmury zielonego chloru.
Będą leżeć bez ruchu, umazani w glinie,
Ludzie o grubych ryjach, jak niewinne świnię.

Nad ogródki i kwiaty pocisk wyfrunie skrzydlaty
I głucho pękną w grządkach gazowe granaty.
A ponad miastem, w ciszy niedzielnej ukrytem,
Zaświszczą ciężkie bomby złowrogim skowytom,
Zatrząskają motory w nieba oddaleniu...
...I nie zostanie z miasta kamień na kamieniu...

Po tych błyszczących szynach i po szos granicie,
Ukryte w gęstej nocy rozgwieżdżonym sienie,
Będą ciągnąć pośpiesznie w eszelonach długich
Pociągi pełne jadła — i ludzi na ubój.

Tylko tego nie widać, nie widać na planie,
Że we krwi, we krwi czerwonej brną kompanje!
Że gdzieś na mokrem polu, na trawiastej łące,
Telefonista wbity w sieci drutów, dzwonek,
Zasłucha się w źródłany śpiew szarych
[skowronków...
...I bluźnie, jak bluźnierstwem — krwią w niebo
[gorące!...

Że młode, zdrowe chłopcy, jak najgrubsze ziarno,
Będą sypać się w brózdy piaszczyste na marne,
Sypać się piachem, prochem... Nic z nich nie
[wyrósnie
...Tylko nikła trawka o wiosnie.

Tylko tego nie widać, nie widać na planie,
Że tam są ludzie, ludzie — nie tylko kompanie,
I że krew jest czerwona, czerwona i dymi,
I że zalewa mapę jeziorem olbrzymim.

GÓRNICY

Kopalnia przez gardła szybów, jak ziemi zachłanne
[płuca
Wdycha nas rankiem, wieczorem w ciężkim
[wydechu wyrzuca.

Idziemy w mokrej ciemności długimi chodnikami —
Po śliskim błocie pochylni do komór podbitych
[stemplami,

Świszczące świdry wbijamy w mur, co nie widział
[świtu,
Rwiemy go na kawały zębami dynamitu.

Przez mrok wyżarte oczy zapadły nam w głąb
[oczodołów,
Głowy od min wybuchów zwisają ciężkie jak ołów.

Schodzimy o świcie w noc głuchą, wracamy, gdy
[dnia już niema —
Zastyga za nami droga i ziemia drgająca i niema.

Ziemia jest brudna, w niebo na skrajach wsiąkają
[dymy,
Sinieje las kominów — jedyny, jaki widzimy.

Znużeni wracamy, cisi, okryci sadzą i pyłem,
— Proste są — praca i życie — a namiętności
[zawile.

W szarym — jak wszystko — domu, w mieszkaniu
[każdego górnika,
Dymią wieczorem kartofle i zegar miarowo tyka.

A rankiem znów, syreny, jak groźnie szumiąca
[rzeka,
Wołają, gdzie spętana śmierć bezustannie czeka.

WIOSNA

Na Wiśle wystrzeliły żagle
i szumi nurt, i śpiewa wiatr,
odsłonił się w oddali nagle
odmyty z lodów świat.

Przesiana słońcem siwa przestrzeń,
daleka wieś i zwały chmur,
i cisza leży jak w orkiestrze,
nim tonów buchnie chór.

Paruje ziemia słodkim sokiem
i na topolach dwóch
zielonym wykwitł już obłokiem
przejrzystych listków puch.

Jakieś kałuże wkrąg się mienia,
i słycać tupot jakichś nóg,
i dudni głucho w oddaleniu
Warszawy huk.

I nad niespełnione czyny moje,
nad skręty fal, nad brzeg i las,
gnany wiosennym niepokojem
grzmi uchodzący czas.

SZKLANE DOMY

Na śmierć Żeromskiego

Z piasku wybrzeża, z prądu wód, z woli
[świadomej,
Tam, gdzie się Wisła z morzem zielonym spotyka,
Wytopi grube tafle szkła, olbrzymie złomy,
Piramidy świetliste — inżynier Baryka.

Pod ciosami kafarów, pod młotów brzemieniem
Osada szklana w ziemię zagłębi się z hukiem,
Szkło pojedna się z ziemią, jak uśmiech
[z cierpieniem,
Jak grom przebije niebo gorejącym łukiem.

Gdzie w dolinach dymiących żytnimi strzechami
Ryczą gnojne obory, gdzie mitręzą radła,
Szklana wieś, jak sen szklany nad nocy łąkami,
Wieloscienne ku niebu obróci zwierciadła.

W kryształach ścian dzwoniących pod chłodnym
[natryskiem
W czas kłosami upału kłującego żniwa,
Odetchnie wodospadem, co jak tęcza spływa
Miasto oczu oszklonych widzeniem świetlistym.

Już noc upaja wonią, mlekiem — świt pogodny,
Barszczem czerwieni — zorza wieczorna nakarmia,

Już dla serc obojętnych, już dla oczu chłodnych
Rośnie w przestrzeniach nocy szklana marzeń
[armia!

Fontanny fioletowe, kaskady gwiazdziste,
W szklach załamane fale elektrycznych świateł,
Na powieki, rzesami snu jeszcze skrzydlate,
Spływają lekkie, świecące i czyste.

W szkle rżniętym — płyną, dyszą pełnymi
[piersiami
Rzeki wierne i słodkie, szumią źródła ciemne,
Lecz gdy ich spragnionymi dotkniemy wargami
Nikną, giną jak wody pustyni podziemne.

Oczom naszym odbitym w przejrzystym kryształach,
Gdy zabłysną na chwilę i po chwili zgasną,
Złudę, jakże bolesną i jak bardzo własną
Odsłaniają rozbite pięścią słońca fale!

Odartym z płaszcza złudy, okrytym żałobą
Kłęski, co krwawi sercem najbardziej człowieczym,
Kochać, jak Ty kochałeś, tym samym powietrzem,
Oddychać nam i dumać i płakać wraz z Tobą.

Kiedy nas znuży walka, co krwią naszą broczy,
W pustkowiu, w którym żaden głos nie odpowiada,
Gdzie najlepszych — nienawiść, wiernych — czeka
[zdrada,
Gdzie przez łyby patrzą najjaśniejsze oczy,

Gdy runą szklane domy, gdy mrok nas obejmie,
I złowrogo zatrzeszcza lodu kruche łodzie,

PIEŚŃ O BAŁTYKU

Już dzisiaj o wody twoje
 pieśń nasza pluszcze radosna,
gdy z portów Gdańska i Gdyni
 w świat płyną nasze okręty,
gdy, ręką naszą gonione,
 biegają wesołe wiosła
polotnych łódek żaglowych
 wzdłuż brzegów twych uśmiechniętych.

Woła nas dzisiaj twa przestrzeń,
 tajemne daje nam znaki,
jak niegdyś śmiałym wikingom,
 co z zimnych gór Skandynawii,
z zacisznych fiordów i fiordów,
 podobni drapieżnym ptakom,
do brzegów naszej Ojczyzny
 płynęli w zdobywczych nawach.

Słyszymy jeszcze ich krzyki
 ze słów zmieszane bełkotem.
Widzimy jeszcze te błyski
 okrutnych oczu sokolich,
co baczenie śledziły brzegi,
 gdy okręt zarzucił kotew,
a nozdrza chciwie chłoneły
 wiatr dmiący z borów Tucholi.

Brzmiał dziko okrzyk bojowy
 w pomorskich krain dziedzinach,
a pogłos wrzawy wojennej,
 jak dym się włóczył posepnie,
gdy się ścierały w zapasach
 Normandów bitne drużyny
z dzielnymi Słowian hufcami,
 z twardym Kaszubów zastępem.

W żelaznych trudach i znojach
 krzepnące plemię pomorzan
wzorem zwycięskich najeźdźców
 hardo się brało za bary
z burzami, z wiatrem i nocą,
 z niezmierną przestrzenią morza
przy żmudnych łowach na ryby
 i przy połowie jantaru.

— O nieobjęty Bałtyku,
 Ojczyzny morze swobodne,
rumaki prowadź nam statków
 po sławę, rozkosz i skarby,
ukazuj drogi bezpieczne
 przez fał twych bruzdy i garby
w dalekie kraje nieznane,
 na białe pustynie wodne!

Tak, w fale twe bursztynowe,
 tak, w twoje oliwne tonie,
w rozległe patrząc obszary
 na północ ciemną, nieznaną,

musiały powtarzać wargi
zwycięskich naszych hetmanów,
kiedy pomorskie pobrzeża
w swych mieczów brali osłonę. —

Lecz wieki szły za wiekami
i skore mijały lata,
a rzadko na wodach twoich
szumiała polska bandera,
choć sen o morzu z serc naszych
orłem się białym wydzieriał,
choć sen o morzu nam w sercach,
jak dzwon boleśnie kołatał.

Armaty wielkiej, potężnej
nie mogliśmy nigdy stworzyć.
Zachód żelazem nas tępił.
Wschód hord swych zalewał czernią,
jednak, jak czysta kochanka,
czekało nas morze wierne,
jednak, jak matka najdroższa,
czekało na nas Pomorze.

O zbudź się w nas, szczytna Religio
rycerskich ludów północy,
wołanie, za którym dążył
genialny wiking Amundsen. —
Większą — niż ziemską Ojczyzna —
bezkresną dajesz Ojczyznę.
Morze, co lądy przybliżasz
i kraje, i ludy obce. —

Niech płyną, jak albatrosy,
przez wody błękitnobławe
nasze kupieckie okręty,
potężne galeony.
Eskadry statków rybackich
i ekspedycje uczonych,
jak sławny żeglarz Jan z Kolna,
na śmiałe niech mkną wyprawy!

O fale twoje Bałtyku,
pieśń nasza pluszcze radosna,
gdy z portów Gdańska i Gdyni
w świat płyną nasze okręty.
Rozpędźmy lotne maszyny! —
Rozwińmy, skrzydlate wiosła! —
Niebo i Morze jest wolne. —
Cel w Słońce jasno wytknięty. —

WSKRZESICIEL ŁAZARZA

Ojczy pszczoł i ślimaków, służy trzciny i kłosa,
Ogrodniku lewkonij, róży, georginij,
Żniwiarzu ciępkich ostów i nędznych pokosów,
Obrońco suchotnicznych krzewów na pustyni.

Bracie ślepego konia, przyjacielu osła,
Lekarzu chorej krowy, jęczącej w oborze,
Tarczo miłej wiewiórki, co dla słońca wzrosła,
A każdej chwili zginąć w szponach śmierci może.

O, dobry budowniczy domów pszczoł i mrówek,
Inżynierze nor w ziemi i dziupli na dębie,
Konstruktorze naiwnych, śmiesznych przybudówek,
Gdzie gruchają hymn szczęścia bezbronne gołębie.

Pocieszycielu starych, połamanych stołów,
Co na strychu dumają o dobrej młodości,
I stróżu niepotrzebnych nikomu kościołów,
Bo spróchniały w nich belki jak zużyte kości.

Zapomnij, żeś jest Sędzią gwiazd, komet i mgławic,
Któreś rozsiał w przestrzeni — Siewco gwiazdny,
[Boże —

I zobacz jak gromnice prośby naszych prawic,
Sygnały zabłąkanych w obłądne bezdroże.

Wejdz, Przyjacielu w dom nasz, który jak
[przymierza
Stóp Twoich umęczonych i zbolących czeka —
Uwolnij nas jak groby — Zrzuć jak wieko —
[Zwierza
I obudź w nas śpiącego w ciemności Człowieka.

W dusznym grobowcu ciała, wśród miasta-
[cmentarza —
Czekamy: Wskrzescielu martwego Łazarza!

ANIOŁOWIE

Kto nachylił się czule z pomocą:
Kiedym wołał o ratunek nocą?

Nikt.

Kto o smutku moim popamiętał,
Kiedy byłem błędny jak zwierzęta?

Nikt.

Kto wołaniem świętym i zwycięskim
Wyrwał serce moje z domu klęski?

Nikt.

Aniołowie? Oni zdala stali
Na pagórku za oknem, wynieśli
I z pogardą na mnie spoglądali —
Aniołowie biali w cieniu sośnin.

Oni, co w dniu każdym mego szczęścia
Nie opuszczą mnie na chwilę nawet
I mieczami grożą mi i pięścią,
Przeklinając mych grzechów bezprawie.
Aniołowie biali w cieniu sośnin
Nie pomogli mi w mej bezradności.

Kiedym błagał, rzekli twarde: Rośnij!
I zniknęli.

MÓJ BÓG

Mój Bóg jak drżący słowik w garści,
A nie ogarną go wszechświaty,
Oddechem gasi gwiazdozbiory,
A drży w oddechu mym jak kwiaty.

Mój Bóg wykuwa słowem wieki,
A chwila rani go jak mieczem,
Mój Bóg — straszliwy i daleki,
A bliski jak płaczące dziecię.

Mój Bóg, depczący z wzdardą trony,
A kłosem zstępujący z drogi —
Jak groźny Sędzia przeraźliwy,
Jak żebrak smutny i ubogi.

Mój Bóg nade mną ciągle stoi
Jak cień, jedyny mój towarzysz —

Czuję za sobą Jego kroki
I złotą glorię Jego twarzy.

I teraz oto: zpoza pleców
Na dłonie moje wciąż spogląda —
Jak syna błaga mnie o serce —
I jak Pan serca mego żąda!

WIERSZ O POLSCE

Nie rozumiem, przyjacielu miły, czemu krzyczysz:
[„Polska — wielka rzecz“,
Pałac serce ogniem wiersza jak suche łuczywo.
Wołasz ciągle: „Drabina tęczowa, archanielski
[miecz,
Zanielona ziemia złotogrzywa!“.

Deklinujesz: „Polska, Polski, Polsce“ — jak
[parobek bełkocąc pijany,
Któremu fantastyczniej legendą sosnowe chałupy
[ściany —
Sufit nad głową mu się zagłem bieli,
A podłoga — gliniana podłoga rozplywa się
[w świetlnej topieli.

Wołasz: „Stolicą wyrasta jak hymn uroczysta,
Jak prorocy niebem porywana,
Jak anieli świetliście przejrzysta —
Jeruzalem, Jeruzalem miłowana!“.

A patrz: przecież jest prosta —
Nie wiem, czy jest małą, czy też wielką rzeczą;
Wiem tylko — codzienna i konieczna
Jak powietrze!

A patrz: nie wiem, czy Jeruzalem,
Czy archanioł złotogłowy —
Wiem tylko — nieodzowna, a prosta jak chleb,
Na który trzeba codzien zarobić na nowo!

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

GOTYCKI POEMAT

„Zanim śmierć na mych wargach czarną pieczęć
[złoży
zamurowicie mnie żywcem, a ku chwale bożej.
Niechaj korzę się boso i kruchymi słowy,
zakuty w cztery ściany, jak pancierz stalowy“.
Rzekłem. Dłoń opuściłem, jak gałąź zwichniętą.
Umajono mi włosy, jak na białe święto.
W katedrze biją dzwony i tłum się kołysze.
Daleko srebrny gołąb w ciszy koła pisze.
Kroczę aleją mnichów w pieśni wyrabana,
Jak schody mi się ścielą akordy organów.
Kląkam we wnęce murów, gdzie stoją murarze.
Wszystkie oczy goreją. Stygną wszystkie twarze.
Przed Bogiem, który w niebie, postać łamię bladą,
a oni w owe przejście cegły rzędem kładą.
I miarowo murują moją ciężką ciszę.
„Zabiłem!“ (Czy ja krzyczę, czy własny głos
[słyszę?])
Zerwałem czarnych kwiatów naręcz na jeziorze,
umaczałem w księżycu o zielonej porze
i jeszcze pełne jadu i kropel rzęsistych
położyłem na piersiach dziewczyny soczystych,
a kiedy gasła pełna śpiąca urodzajna,
wezbrała we mnie miłość zatruta i tajna:
Marmurową martwotę, jak posąg zwalony,

oplotłem złym powojem. Liściasty. Spieniony.
Błuźniłem!!! Bo w modlitwach nieraz mi się zdało,
że piłem twoje wino, pijąc owe ciało.
A teraz słucham cegieł w radosnej pokorze.
Wkoło mnie mur budują, we mnie dom twój, Boże.
Już ostatni słup światła. Już ostatnia cegła.
Ciemność wali się, piętrzy i ściele poległa.
Teraz tańczę dla ciebie, w wątłe dłonie klaszczę,
fruwam ciężki ze szczęścia, niewidomy patrzę,
do ziemi się przypląszczę, wdrapuję na ściany,
łbem trzaskam po kamieniach i padam pijany,
albo z ręką nad głową i na jednej nodze,
stoję przez dwa tygodnie, niby krzyż przy drodze.
Zrywam się, dudnię w studni, drobię żwawym
[krokiem,
kiścią sięgam pułapu, gdy się sprężę skokiem.
Na czworakach dokoła i na jednym ręku,
aż podaję ci usta ze świeżą piosenką.
Potem — żebrak pod ścianą — czekam na jałmużnę.
Szarpie piersi do mięsa, lub w rysunki różne.
Strzępy szat przepłoszyłem dawno z mego ciała,
żeby nagość się jeno w ciemność otulała.
Piękny jestem!!! Poczekaj!!! Rozebrać się muszę,
zrzucić w kął zdarte ciało, by ci oddać duszę
i rozpostrzeć się wreszcie nicością i prochem,
cały w pianach i w łajnach, i wołać, że kocham!
Czy słyszysz pieśń lilijną, co przez mury wsiąka?
Tak śpiewają strunienie, kiedy kwitnie łąka.
Słowa lecą, jak płatki, jak ptaki rosiste,
nawet mury dla pieśni tej są przezroczyście.
A to śpiewają o mnie. I tłum się kołyszę.
Daleko srebrny gołąb w ciszy koła pisze.

Ciężkie turnie akordów. Pękające dzwony.
Kroczy orszak czerwony, złożony, natchniony.
Wieczną wiarą goreją spojrzenia pielgrzymie,
I usta rozmodlone niosą moje imię.
W dal... Po stopniach pokoleń... Na szczyt
[niepojęty!
O! Jakże jestem święty... święty. Święty!!!

CZARNY MAJ

Wiersz na zgon Marszałka Piłsudskiego

Wtem śpiewające drzewa pochyliły głowy
i przeszył noc majową wiatr listopadowy.
Zdzierał liście z gałęzi i uśmiechy z twarzy.
Pierwsze krople. Łzy pierwsze. Nie stawajcie
[szarzy
i nie szeptajcie wieści w skamieniałym mieście,
lecz czarną drzazgą w sercu w życie ją ponieście,
by atom owej chwili zawsze mieć w ukryciu,
bo przecież taka wiosna jedna była w życiu.
Pamiętasz? Wszystkie mózgi długo w noc się
[pałą.
Przed nami leżą myśli porąbane z żalu,
jak woda poprzez palce, w przeszłość nam
[przecieka,
ojczyzna, co się zrosła z imieniem człowieka.

Już inne krajobrazy. Dziś inaczej dyszy
brzezina rozbielona wśród piaszczystej ciszy.
Inną melodię nosi w liściach grusza stara,
gdy brodzi po konary w pszenicznych pożarach.
Inaczej klaszcze słowik w jaśminach księżycy,
gdy spoza tłumu liści nocą się zachwyca.
Jestem w obcej krainie. Gdzie skieruję kroki? —:
Ojczyzna się rozdarła na Polskę i Zwłoki.

Ubogi, jak pod krzyżem na wiejskim rozdrożu,
a przecie ja nie jeden, jeno kropla w morzu.
Tak wyrósł ów dzień czarny ponad białą nocą,
serca dzwonów i ludzi w powietrzu trzepocą.
Historia bije w żyłach, w ciałach naszych krąży,
wzbiera nurtem, przez tajne pieczary się draży
i porywa i wali, jak powódź po błoni,
aż o srebrne dno duszy kroplą krwi zadzwoni.
Stój! Czy w sobie to słyszysz?

Oto wszyscy słyszą
i odkrywają głowy, by się nakryć ciszą.
Ptactwo żałobnych druków, niby czarne kruki.
Pod deszczem tłum bez twarzy: głowy, buty,
[bruki...

I znowu się na dwoje ojczyzna rozedrze.
Patrzymy.

Milczy trumna złożona w katedrze.

Szary, jak skiba roli, jak... ziemia... kochany...
Zasklepiły się dzieje w cztery wąskie ściany.
Odchodzimy. Wzrok w ziemię. W żyzną
[tajemnicę.

Tak idziemy przez życie idąc przez ulicę.
Wiatr wystrzały i gromy w jedną skargę targa.
Twe imię jak opłatek niesiemy na wargach.
Gdy w zaułku przyszłości już znikniemy tłumnie,
Ono jedno nam starczy za wszystkie komunie...

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA

OD WYDAWCY

Antologii niniejszej jedynym i bardzo istotnym zamierzeniem jest dać do rąk jak najszerszych sfer czytelnicznych, a młodzieży najwyższych klas szkół średnich wszystkich typów przede wszystkim, książkę zawierającą przegląd najwybitniejszych poetów ostatniego dwudziestolecia z ich najbardziej reprezentatywnymi utworami, aby tą drogą wprowadzić czytelników w poezję współczesną, zapoznać z nazwiskami twórców, zachęcić do dalszej lektury i na przekór wszelkim pozorom głoszących bezpotrzebność poezji w naszych czasach przyczynić się do jej spopularyzowania. Jest więc pragnieniem wydawcy krzewienie i rozszerzanie wśród szerokiego ogółu czytelniczego znajomości tej sztuki, która w hierarchii Muz zajmuje miejsce poczesne, a w zespole zjawisk, które pojęciem kultury określamy, unosi się mimo wszystkich jej związków z współczesnością ponad rozbieżnością prądów i dążeń, stanowiąc każdej epoki woń, barwę, wydźwięk... Mowa oczywiście o poezji, o poezji lirycznej przede wszystkim.

Wydawca ograniczył swój wybór do trzydziestu tylko zdaniem jego najważniejszych nazwisk,

nie chcąc nadmiarem ogłuszać i oszołamiać czytelników, gdyż książki tej zadaniem jest wprowadzać, wtajemniczać, zapoznawać z najistotniejszymi fenomenami poetyckimi, a nie wyczerpywać, decydować, osądzać. Z tych też względów wybór wierszy poszczególnych poetów jest ściśle ograniczony — z najwybitniejszych antologia daje najwyżej i to przy czołowych nazwiskach cztery utwory. Czytelnik bowiem winien zapoznawszy się z treścią tej książki odsunąć ją od siebie i odrzucić, aby natychmiast sięgnąć do samych źródeł poezji, do poszczególnych tomów, do zbiorowych wydań poetów, w czym przewodnikiem będą mu dalej podane objaśnienia i przypisy. Wydawca nie wyobraża sobie bowiem, aby ktoś przeczytawszy w tej antologii wiersze Leśmiana nie zechciał przeczytać Łąki, zbioru poezji tego autora, lub przeczytawszy balladę Zegadłowicza o powsinodze-druciarzu nie postanowił w sposób jak najbardziej zdecydowany zapoznać się z całą rodziną powsinogów beskidzkich, a czyż podobnie czytelnicy Lechonia, Wierzyńskiego, Tuwima czy Lieberta i wszystkich innych w antologii tej reprezentowanych zechcą się ograniczyć do skąpego wyboru ich utworów?

Książka zatem chce być pułapką, na którą chwyci się nieświadomy niebezpieczeństwa czytelnik: weźmie ją do ręki może głównie poto, aby móc się po pobieżnym zapoznaniu z jej treścią uspokoić w swym kulturalnym sumieniu, że poezją nową się zainteresował, że się zorientował w najważniejszych nazwiskach, tematach i zagadnieniach, jakie w niej są poruszane — a tymczasem obejmie

go, pochwyci i nie wypuści z swych słodkich objęć urocza Muza poezji, złotowłosa Erato, oszołomi go woń jej błękitnego kwiatu, zniewoli potęgą twórczego Słowa, wyłaniającego z siebie wciąż nowe światy, byty i zjawiska.

Z tych też względów antologia zawiera utwory, przy których wyborze najwyższym kryterium była ich artystyczna dojrzałość i twórczy stosunek ich autorów do słowa, jako głównego tworzywa poezji oraz samoistna i odrębna pełnia ich pojęciowej zawartości, przy czym pewne odchylenia czy ustępstwa w kierunku aktualnych tematów i zagadnień, mogących zainteresować czytelników, należy tłumaczyć książki tej celem dydaktycznym i chęcią ogarnięcia szerszych sfer czytelniczych.

Książka będzie, jak się zaznaczyło na wstępie, służyć przede wszystkim młodzieży szkolnej. W ręku polonisty, na kółku literackim, czy na kilkunastu ostatnich przed końcowym egzaminem lekcjach języka i literatury polskiej może być przedmiotem wielorakich dyskusji na tematy — nie tylko ściśle literackie. Zagadnienia narodowe, państwowe, społeczne, etyczne czy filozoficzne mogą być z racji i w związku z lekturą zawartych w książce poematów wielokrotnie i z różnych stron oświetlane i dyskutowane, przy czym punktem wyjścia, a nieraz także punktem oparcia będzie sąd wypowiedziany przez któregoś ze współczesnych, a więc bliskich, dostępnych, niezmumifowanych i nieotoczonych nimbem poetyckiej nieśmiertelności, żyjących przy tym i wciąż się jeszcze kształtują-

cych, z którymi można dyskutować, różnić się lub zgadzać w poglądach i zapatrywaniach.

Od strony ściślej metodycznej rzecz biorąc, lektura tej książki spełnić może przy umiejętnym podejściu dwa ważne zadania: po pierwsze dostarczyć—wprawdzie dość ograniczonego ale jeszcze wystarczającego materiału do zapoznania się z głównymi kierunkami, prądami i autorami naszych czasów, po drugie należyte wykorzystanie wypisów, w książce tej zawartych, ułatwi nauczycielowi przeprowadzenie tak ważnego zabiegu metodycznego, jakim jest powtórzenie materiału naukowego z zakresu literatury polskiej przy końcu nauki szkolnej w nowym — jak tego wskazania metodyczne wymagają — układzie i zastosowaniu. Lektura zawartych w antologii utworów może bowiem stać się po ich omówieniu znakomitą odskocznią nie tylko w dziedzinę — o czym wyżej już była mowa — zagadnień filozoficznych, narodowych czy społecznych, ale także w sferę historii literatury. Czy analiza „Pieśni o białym domu“ Tuwima nie nakaze sięgnąć do „Ody do młodości“ lub do asnykowskiej apostrofy „Do młodych“? Podobnie poezja Leśmiana nakaze opracować motyw przyrody w poezji, wiersze zaś Lieberta czy Bąka skierują dyskusję na zagadnienia religijne w naszej poezji od Kochanowskiego do Kasprzowicza, Jastruna zaś wiersz o „Szklanych domach“ znajdzie odźwięk w związku z referatowo-dyskusyjnym opracowaniem twórczości Żeromskiego... Nie wyczerpując ani drobnej części nasuwających się przykładów, wydawca jest przekonany, że dzięki

właściwemu doborowi przedrukowanych w niej utworów, książka jego przyczyni się w dużej mierze do szczęśliwego rozwiązania tej tak uciążliwej i kłopotliwej pracy, jaką jest powtórzenie z młodzieżą szkolną wiadomości z zakresu literatury w obliczu końcowego egzaminu.

Układ książki wymaga kilku wyjaśnień. Wydawca podzielił antologię na trzy części, zachowując naogół — choć bez przesadnej ścisłości — układ chronologiczny. Pierwszy cykl zawiera utwory pisane w czasie wielkiej wojny i wojny o niepodległość Polski, drugi — wybór poezji Leśmiana, Zegadłowicza, Skamandrytów i kilku rówieśników tych ostatnich, trzeci — najwięcej nazwisk obejmujący — pokolenia poskamandrowego, a więc poetów Kwadrygi, najobszerniej w tej części uwzględnionych, współczesnych im i młodszych od nich — a więc najmłodszych, przy czym zauważyć należy, że o przydziale poetów do tej czy innej części antologii niezawsze decydowała data urodzenia, często też bowiem brano pod uwagę datę wystąpienia, urodzin poetyckich i ukształtowania się psychiki twórczej.

Należy jeszcze zaznaczyć, że w książce pominięto podział poetów na grupy, szkoły czy kierunki, jak to czyni A. Galiński w „Poezji Polski Odrodzonej“, z wyjątkiem bowiem ugrupowania poetyckiego znanego pod nazwą poetów „Skamandra“ żadne większej roli w rozwoju naszej poezji nie odegrało, żadne też poza „Kwadrygą“, grupą poetów głoszących hasło „sztuki uspołecznionej“ i hasło to z dużą konsekwencją i dość znacznymi

osiągnięciami realizujących, nie zarysowało się wyraziściej i nie zasługuje na utrwalenie w książce, mającej na celu wprowadzenie na szeroki gościniec poezji dzisiejszej a nie błądzenie po jej labiryntach, zaułkach czy manowcach. Mimo to jednak zasadnicze kierunki, główne tematy, odrębne motywy i pierwiastki nowej poezji takie jak uniwersalizm, urbanizm czy mechanizm życia społecznego (trzy *m* Peipera: miasto, masa, maszyna) obok wciąż żywych i zawsze powracających elementów kaźdoczesnej poezji (liryka bezpośrednia, związek z przyrodą, pierwiastek religijny, zagadnienia narodowe i społeczne, pierwiastek refleksyjny i t. d.) znalazły w antologii jak najszersze uwzględnienie tak, jeśli chodzi o dobór tematów i zawartość treściową, jak również w zakresie nowych „chwytów” artystycznych, nowych sposobów wypowiedzi i zdobyczy formalnych. Pominęto jedynie poezję t. zw. awangardy (z Peiperem i Przybosiem na czele), gdyż poezja ta wymaga specjalnego przygotowania i trudu, który bodajże nie opłaciłby się w pełnej mierze czytelnikowi.

Na następnych stronicach przypisów znajdzie czytelnik związane informacje, dotyczące poetów przedstawionych w wyborze, oraz nieco szczegółów o poetach tu z różnych względów niereprezentowanych. Celem tych informacji jest bliższe zapoznanie czytelnika z poezją współczesną i wskazanie mu dalszej lektury.

OBJAŚNIENIA

Str. 9 — 12. EDWARD SŁOŃSKI (ur. 1878 um. 1925) należał do poetów okresu modernistycznego, ale szeroką popularność i uznanie zdobył dopiero poezjami, związanymi z okresem Wielkiej Wojny. Poezje te zebrane w kilkakrotnie wydawanym i rozszerzanym zbiorze *Ta co nie zginęła*, wyrażają w sposób bezpośredni, ze szlachetną prostotą i dużą siłą wyrazu uczucia, dążenia i pragnienia społeczeństwa polskiego z lat 1914 — 1918. Z utworów tych wybraliśmy dwa, posiadające nieprzemijającą wartość i równocześnie bardzo charakterystyczne, t. j. wiersz tytułowy *Ta co nie zginęła* i *Już ją widzieli idącą*. Nie należy jednak zapominać, że Słoński był również poetą o szerszej skali lirycznej i powieściopisarzem (Najlepsze powieści: *Partja*, *Syn*, *Drogi nieznanne*).

Str. 13 — 18. JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI (ur. 1885), członek i generalny sekretarz Polskiej Akademii Literatury, jest najwybitniejszym prozatorem współczesnej literatury polskiej, tłumaczonym na kilka języków obcych. Oficer I Brygady dał w dobie legionów Piłsudskiego szereg

utworów pisanych prozą w swoim rodzaju poetycką o wysokim napięciu uczuciowym i bogactwie treści, języka i stylu. Te krótkie utwory na postojach i noclegach pisane wnoszą w literaturę wojenną nieskazitelną patos przy autentyczności przedstawianych wydarzeń i plastyce wyrazu, wyprzedzając i przewyższając tak głośną później literaturę o Wielkiej Wojnie. (Remarque i jego naśladowcy). Rzeczy legionowe Kadena-Bandrowskiego zebrane są dziś w dwa dostępne zbiory *Piłsudczycy* i *Na progu*. Z *Piłsudczyków* pochodzi poemat o Słomie, z tomu *Na progu* utwór *Mogily*. Do cyklu wojennego Kadena-Bandrowskiego zaliczyć należy powieść *Łuk* i tom nowel *Przymierze serc*. Najgłośniejszymi dziełami J. Kadena-Bandrowskiego są poza tym: cykl powieściowy, przedstawiający rzeczywistość polską w okresie przedmajowym: *Czarne skrzydła* i cykl opowiadań na tle wspomnień dzieciństwa, rozpoczęty tomem *Miasto mojej matki*.

Str. 19—20. STANISŁAW DŁUGOSZ (ur. 1888 zm. 1915) oficer I Brygady, zginął w walkach o wolność. Poezje i proza, pisane jakby na marginesie prac i zajęć strzeleckich i wojskowych — autor już przed wojną był uczestnikiem i gorliwym wyznawcą ideologii Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego — zostały wydane po śmierci w zbiorze *Przed złotym czasem* (z przedmową Andrzeja Struga). Wraz z Józefem Mączką i Eugeniuszem Korwin-Małowickim, którzy choć nie na polu walki, ale w bezpośrednim związku z czynnym udziałem w walkach o wolność, młode

swe życie oddali, walcząc o niepodległość, nasuwa na myśl porównanie z uczestnikiem walk o wolność 1831 r. Stefanem Garczyńskim (twórcą „Sonetów wojennych“) i Mieczysławem Romanowskim (ur. 1834), który poległ w bitwie pod Józefowem w kwietniu 1863 roku.

Str. 21—23. JÓZEF MĄCZKA ur. w r. 1888, oficer II Brygady Legionów Polskich, po rozbiciu Legionów działa na Ukrainie w P. O. W. i tam umiera w drodze do dywizji gen. Żeligowskiego, rozchorowawszy się na cholera. Mączka jest autorem jedyne go zbioru poezji, ogłoszone go po raz pierwszy w r. 1917 p. t. *Starym szlakiem*. Tytuł zbioru trafnie charakteryzuje książkę i jej autora. Zarówno bowiem pod względem formalnym jest Mączka kontynuatorem dawnej patriotycznej poezji polskiej, jak i ideowo nawiązuje do tradycji walk o wolność, o czym świadczą choćby pierwsze słowa utworu tytułowego:

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności...
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
my — żołnierze sercem prości
silni wiarą i nadzieją,
że tam, kędyś, świty dniają!

Mimo to jednak przewyższa Mączka swych rówieśników, poetów-żołnierzy, szczerością i siłą poetyckiego natchnienia, bezpośredniością wzru-

szeń i różnorodnością tematów i nastrojów (obok wierszy utrzymanych w tonie b. poważnym, namaszczonego, także wiersze pogodniejsze z przeblaskami humoru) oraz wcale zasobnym obrazowaniem, niepozbawionym tu i ówdzie oryginalności.

Wiersze Mączki przedrukowane są z nowego, trzeciego wydania zbioru *Starym szlakiem*, opatrzonego obszerną biografią poety. Na szczególniejszą uwagę zasługuje zwłaszcza w dobie obecnej wiersz *Krwawy spadek* zwrócony jakby w przeczuciu przyszłości do pokolenia powojennego. Według ogólnego i trafnego osądu krytyki literackiej jest Mączka uznany za największego poetę Legionów Piłsudskiego.

Str. 24 — 25. EUGENJUSZ KORWIN-MALACZEWSKI (ur. 1895 zm. 1922) brał udział w walkach o niepodległość w formacjach polskich na Syberii. Ogłosił zbiór nowel i opowiadań wojennych *Koń na wzgórzu* (obok tytułowego, pełnego tragizmu opowiadania tom zawiera również tragiczną opowieść *Tam gdzie ostatnia świeci szubienica* oraz humoreskę *Wielka bitwa narodów* i znane ogólnie *Dzieje Bałki Murmańskiej*). Poezje Małaczewskiego wydane zostały w zbiorze *Pod lazurową strzechą*, skąd też pochodzi wiersz *Mogiłom Astrachańskim i Murmańskim*.

Zmarły w młodym wieku na gruźlicę, której nabawił się w czasie wojny, był Małaczewski nie piszącym na marginesie przeżyć wojennych poetą-dyletantem, ale świadomym swej sztuki i udosko-

nalającym ją artystą, świetnym narratorem i wrażliwym na piękno przyrody poetą-lirykiem. O twórczości Małaczewskiego trafnie pisze Ostap Ortwin, że „wnosi z sobą rozmach i żywiołowy temperament kresowca o długim rozpierającym treść oddechu“.

Str. 26 — 28. JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA (ur. w r. 1893) ogłosił szereg zbiorów poezji (*Promień i grom*, *Uśmiechy Boga*, *Gwiazda komandorii*, *Ludzie bez twarzy*, *Głosy ziemi*, *Cienie orłów* i in.). Z bogatej a dość nierównej pod względem poziomu artystycznego twórczości Gałuszki szerzej znane są wiersze okolicznościowe (*Pogrzeb Marszałka Focha*) oraz kilka utworów o efektownie brzmiących zestawieniach dźwiękowych wykorzystujących onomatopeiczność głosek jak *Pieśń drutów telegraficznych* lub przedrukowana w naszej Antologii *Szarża kawalerji* (ze zbioru *Gwiazda komandorii*). Z innych wierszy na uwagę zasługują obrazy wsi i gór (w zbiorach *Głosy ziemi* i *Cienie orłów*). *Szarża kawalerji* może zainteresować także jako jeden z nielicznych w twórczości lat ostatnich poetyckich przedstawień bitwy (por. *Swojków Długosza*).

Str. 31 — 39. BOLESŁAW LEŚMIAN (ur. w r. 1879) członek Polskiej Akademii Literatury, twórca *Łąki* (ogłoszonej w 1920 r.) największego dzieła poetyckiego w okresie tu przedstawianym, a zarazem jednego z największych w naszej poezji. Przed wojną współpracował w *Chimerze* Miriama-

Przesmyckiego i ogłosił tom poezyj *Sad rozstajny* oraz dwie książki prozą *Klechdy Sezamowe* i *Przygody Sindbada-Zeglarza*. Twórczość Leśmiana, która wywarła przemożny wpływ na poezję lat ostatnich, zwłaszcza na najmłodsze pokolenie poetów, krzyżując się z wpływami poetów Skamandra i poetów rosyjskich, jest w istocie swej tak treściowo jak formalnie samoistna i oryginalna. Na wielkość jej składają się zarówno niezwykły i porywający artyzm, wydobywający ze słowa—jako zasadniczego tworzywa poezji—odrębne, autonomicznie istniejące wartości, jak i własna metafizyczna koncepcja świata i absolutu, tworząca nowe mity, nowych bohaterów i nowe realności. W sposób niespotykany na obszarach poezji nietylko polskiej łączy poezja Leśmiana realizm obrazowania i żywiołowość bezpośredniego wchłaniania świata zjawisk i rzeczy z przetwarzającą go w wizje poetyckie zdolnością tworzenia nowych konstrukcji i nowych struktur artystycznych.

Przez szereg lat mało znany i nawet przemilczany (mimo przełomowej, świetnej recenzji O. Ortwina, ogłoszonej w *Przeglądzie Warszawskim* jeszcze w r. 1922, a obecnie przedrukowanej w zbiorowym tomie pism znakomitego krytyka p. t. *Próby przekrojów* jest dziś Leśmian twórcą znanym wszystkim miłośnikom poezji także z szeregu wierszy, drukowanych po Łące w pismach *Gazeta Polska*, *Wiadomości Literackie*, *Skamander* i in., które zebrane w tom wyznaczają nowy etap jego twórczości. Próbą wprowadzenia w odrębny świat Łąki i interpretacją jej metafizyki jest rzecz wydawcy niniejszej anto-

logii (*Brzegiem szale w niepojętość zieloności* O Łące Bolesława Leśmiana. Warszawa 1934. Towarzystwo Wydawnicze J. Mortkowicza).

Wszystkie wiersze podane w antologii pochodzą ze zbioru *Łąka*. Zamyślenie z cyklu *Ponad brzegami*, *Topielec zieleni* z cyklu *W zwiewnych nurtach kostrzewy*, *Dąb* z *Ballad*, *Szewczyk* i *Żołnierz* z *Pieśni kłękających*.

Str. 40 — 47. EMIL ZEGADŁOWICZ (ur. w r. 1888) ogłosił poczynając od r. 1908 kilkadziesiąt tomów poezyj, poematów i utworów dramatycznych, między nimi kilka tomów, będących zbiorowymi wydaniem: *Dziwanny* (zbiór ballad w siedmiu cyklach), *Imagines* (poezje młodzieńcze), *Dom jałowcowy* (poezje z lat 1920—1926), *Dęby pod pełnią* (lata 1926—1928), oraz w latach ostatnich *Pieśni Niemotworza* (cztery części: *Nad brzegami Zodiaku*, *Podkowa na progu*, *Światła w okopach* i *Podsłuchy*). Utwory dramatyczne wyszły w latach 1931—2 w dwóch tomach (*Nawiedzeni*, *Głaz graniczny*, *Lampka oliwna*, *Alcesta*, *Betsabe*, *Wigilia*). Ponadto przetłumaczył Zegadłowicz *Fausta* Goethego (obie części) i ogłosił przekłady z poezji rumuńskiej i chińskiej. Jako prozator jest Zegadłowicz autorem wielkiej powieści biograficznej *Żywot Miłkołaja Srebrempisanego*, której dwie części ukazały się dotąd (I *Uśmiech*, II *Zmory*).

Niezwykłe obfitą produkcją literacką Zegadłowicza cechuje obok objawiającego się wszędzie liryzmu poszukiwanie etycznego usprawiedliwienia

bytu i życia, owej „dobrej nowiny“, której najwyższym wcieleniem jest dla niego Chrystus. Jest poetą wsi polskiej, Beskidu, któremu poświęcił najpiękniejsze karty swej twórczości. Po klasycyzujących początkach stanął Zegadłowicz (w okresie Wielkiej Wojny i bezpośrednio po niej) pod sztandarem *Zdroju*, pisma wydawanego przez grupę polskich ekspresjonistów (Hulewicz, Stur, Bederski, Wittlin i i.), po zwinięciu tego pisma stworzył własną grupę poetycką *Czartak*, głoszącą regionalizm beskidzki, kontemplację przyrody, umiłowanie wsi i wiarę w realizację Królestwa Bożego na ziemi przez ewangeliczną miłość bliźniego, odrodzenie duchowe i prostą, franciszkańską wiarę w Chrystusa.

Bezpośrednio związany z przyrodą i wsią beskidzką (osiadł w Gorzeniu Górnym, miejscowości w Małopolsce Zachodniej pod Wadowicami) żył się z ludem wiejskim, jego wiarą i wierzeniami, i prześwieciliwszy jego życie promieniami poetyckiego spojrzenia na świat, stworzył swój własny, odrębny mit poetycki, któremu najdoskonalszy i zarazem najoryginalniejszy kształt artystyczny dał w *Powsinogach beskidzkich*, cyklu sześciu ballad o druciarzu, szklarzu, sadowniku, zdunie, kamieniotłuku i świątkarzu beskidzkim. Zegadłowicz nie poprzestał tylko na jednorazowej reprezentacji swych powsinogów: dalsze jednak wariacje na ten temat nie przyniosły nic nowego i grzeszą niejednokrotnie zbytnią rozwlekłością; poeta niezawsze panuje nad inspiracją poetycką, nie potrafi się ograniczać, toteż trwała i zupełnie słuszną

popularność zjednały mu jedynie *Powsinogi beskidzkie*, stanowiąc w jego twórczości — mimo małych rozmiarów — dzieło o stałej wartości. W ostatniej dobie Zegadłowicz przechodzi wyraźną i nawet dość głośną przemianę wewnętrzną, uzewnętrzniającą się w większym realizmie ostatnich utworów i porzuceniem dawnej franciszkańskiej ideologii. Tutaj jednak uwzględniono jedynie ową zasadniczą i już wyraźnie określoną postawę twórczą poety: Ballada o powsinodze-druciarzu jest jednym z owych sześciu najdoskonalszych utworów poety, Dęby pod pełnią zaś reprezentują stronę ideologiczną jego twórczości.

Str. 48—50. FELIKS PRZYSIECKI (ur. 1883 zm. w r. 1935) wydał jedynie *Śpiew w ciemnościach*, mały tomik poezyj, z którego pochodzą oba przedrukowane wiersze. Zaprzyjaźniony z poetami Skamandra wystąpił bardzo późno jako poeta. Z pełną plastyką ekspresją przedstawia życie wielkiego miasta i dolę zbłąkanego w nim poety. Stanowi niejako pomost między poezją młodopolską i poezją nowoczesną, a w swych nielicznych wierszach objawia psychikę poety-schyłkowca o romantycznej wyobraźni i skondensowanym wyrazistym artyzmie.

Str. 50—56. JULIAN TUWIM (ur. w r. 1894) jest obok Kazimierza Wierzyńskiego najgłośniejszym poetą naszej doby. Uznanie i popularność zdobył już pierwszym zbiorem poezyj *Czyhanie na Boga* (wydanym w r. 1918) podobnie jak Wierzyński

tomem *Wiosna i wino*. Dalsze zbiory (weszły później w skład wydania zbiorowego) to *Sokrates tańczący*, *Siódma jesień*, *Poezji tom czwarty* i *Słowa we krwi*. Ostatnie tomy: *Lutnia czarnoleska* i *Biblia cygańska*, poza tym zbiór wierszy humorystycznych i satyrycznych *Jarmark rymów*. Tuwim jest także świetnym tłumaczem poezji rosyjskiej (przede wszystkim *Słowa o pułku Igora* i poezji Puszkina). O twórczości Tuwima tak pisze Ostap Ortwin, oceniając pierwsze — i dodajmy najważniejsze — cztery zbiory jego poezji: „Jego indywidualność poetyczna coraz silniej krystalizuje się na gruncie najbardziej jej odpowiadających form nowego stylu poetyckiego. Nacisk tu pada nie tyle na nowość tego stylu, ile na indywidualność jego raczej, której nowość jest zawsze tylko nieodłącznym następstwem i wynikiem. Chodzi słowem o stopień i siłę indywidualności, która z przyrodzonego ustroju swej jedynej i jednorazowej wrażliwości zmysłów już w samej apercpcji i odczuwaniu bytu, dźwiga i buduje świat swej poezji z niebywałych i nigdy powtórzyć się nie mających elementów“. Stwierdziwszy następnie: „ani na chwilę nie zawaham się uznać w Tuwimie jedną z indywidualności reprezentatywnych w naszej poezji“ — wyznaczniki twórczości Tuwima wskazuje Ortwin w kłębiącym się w niej organicznym zasobie energii emocjonalnej o bardzo wysokim napięciu, w energetycznej formie liryki, objawiającej się w nagłych i gwałtownych eksplozjach, skoku i okrzyku, w nerwowo pośpiesznej i niecierplivej gestykulacji słów, w wysłowieniu operującym najczęściej obfitym zasobem

czasowników pewnego specjalnego typu, który nazwaćby można energetycznym, wszystkie one bowiem wyrażają nie stan biernego zachowania się przedmiotów ale bezwzględnie czynne w każdym wypadku wywieranie działania na zewnątrz; w agresywnej, zaborczej i wrogiej postawie względem świata i życia; w ciągłym napięciu wszystkich nerwów pod chłostę dojmujących emocji; w brutalnej sile rozmachu; w zaciekłym i spienionym stosunku bokserskim do życia; w gladiatorskiej postawie torreadora, wyładowującej się burzycielskim zapędem w piórze; biegu na przełaj bez celu, kierunku i mety... „Na tle swego indywidualnego ustroju, na podłożu rozsadzającego go poczucia napęczniałej i jak cięciwa napiętej prężliwości, Tuwim składa i buduje z tych samych elementów świat swej poezji, hipostazując je, grupując i skupiając dokoła pewnych konkretnych przedmiotów i zdarzeń, które czyni centrami ekspansywnej, dynamicznej energii“ (Cytat według Czachowskiego. *Obraz współczesnej literatury polskiej*. Tom 3).

W antologii niniejszej wszystkie wiersze Tuwima pochodzą z pierwszej fazy twórczości, zawartej w *Utworach zebranych*, Nauka z Czwartego tomu poezji, *Żydzi z Czyhania na Boga*, *Dwa wiatry* i *Pieśń o białym domu z Sokratesa tańczącego*.

Str. 57—63. KAZIMIERZ WIERZYŃSKI (ur. w r. 1894) ogłosił od r. 1919 tomy poezji: *Wiosna i wino*, *Wróble na dachu*, *Wielka niedźwiedzica*, *Pamiętnik miłości*, *Laur olimpijski* (odznaczony pierw-

szą nagrodą międzynarodową na IX-ej Olimpiadzie w Amsterdamie i tłumaczony na języki: niemiecki, rosyjski, włoski, francuski i in.), *Rozmowa z puszcza*, *Pieśni fanatyczne i Gorzki urodzaj*. (Istnieje też zbiorowe wydanie poezyj, w skład którego wchodzi wszystkie prócz ostatniego zbiory). Ogłosił także tom nowel *Granice świata* i w r. b. cykl wierszy o Marszałku Józefie Piłsudskim p. t. *Wielkość tragiczna*

W twórczości Wierzyńskiego dają się wyróżnić — może wyraziściej niż u innych współczesnych mu poetów — poszczególne fazy rozwojowe świadczące, że ten niepospolity artysta jest zarazem bacznie we współczesność zwłaszcza polską wpatrzonym poetą-myślicielem, któremu nie wystarcza jedynie bierna kontemplacja życia, lecz który pragnie rzeczywistość tę przekształcić wysiłkiem woli w realność doskonalszą i pełniejszą. Etapy twórczości Wierzyńskiego wyznaczają zarazem fazy rozwojowe wielu prawdziwie męskich osobowości: od początkowej radosnej afirmacji życia, pełnej młodzieńczych zachwyty zrodzonych z biologicznego poczucia sprawności i tężyzny fizycznej spotęgowanej przez równie harmonijne funkcjonowanie władz psychicznych (*Wiosna i wino*, *Wróble na dachu*, *Laur olimpijski*) do zamyśleń nad melancholijnym pięknem mijania (*Pamiętnik miłości i Wielka niedźwiedzica*), wyznaczających kres młodzieńczej beztrosce i jednostronnemu kultowi jednostki. *Pieśni fanatyczne i Rozmowa z puszcza* są — jak trafnie pisze Czachowski — wyrazem duchowego przełomu. Miejsce beztroskiego entuzjazmu i młodzień-

czej radości życia zajmuje powaga życiowego doświadczenia i głęboka troska — nawet oskarżenie — życia, w którym baczne oko poety dostrzega otchłan krzywd i niedoli. Poetę nie zadowala — jak sam się wyraził — „liryczna konsumpcja świata“, pragnie w świecie tym odnaleźć sens moralny, dotrzeć do jego istoty, a przede wszystkim zrozumieć i objąć współczuciem świat pracy, świat zmagania się człowieka — jako cząstki społeczeństwa rozważanego, — z rzeczywistością życia i bytu. Jednym słowem, poeta chce być i staje się swoich czasów poetyckim wyznacznikiem ale nie — należy to wyraźnie zaznaczyć — kontemplującym życie myślicielem, lecz czynnym, tkwiącym w życia tego miazdze współfaktorem zagadnień, poczynań i zmagania się współczesności.

Z tego podłoża wyrosły trzy ostatnie książki Wierzyńskiego: tom nowel *Granice świata*, tom poezyj *Gorzki urodzaj* i cykl poetycki *Wielkość tragiczna*.

W antologii niniejszej trzy pierwsze utwory wyznaczają pierwsze fazy twórczości: Tyle jest we mnie bajecznej pogody z *Wiosny i wina*, Podróż do Afryki z *Wróbli na dachu*, Dyskobol z Lauru olimpijskiego. Ostatni z utworów (Do współczesnych) z *Gorzkiego urodzaju*.

Sławę zyskał Wierzyński pierwszymi dwoma zbiorami swych poezyj, ostatnia faza jego twórczości zyskuje mu coraz większe uznanie wśród poważniej myślących czytelników, stawiając zarazem twórcę *Wielkości tragicznej* na stanowisku poety związanego ścisłymi węzłami z rzeczywistością pol-

ską i zarzucającego most, łączący polską poezję romantyczną z twórczością naszych czasów.

Str. 64—69. JAN LECHOŃ (właściwie Leszek Serafinowicz, ur. w r. 1899) ogłosił dwa tomiki poezyj *Karmazynowy poemat* (1920) i *Srebrne i czarne* (1924) (trzeci tom *Lutnia po Bekwarku* ma się wkrótce ukazać), oraz zbiór wierszy i prozy satyrycznej *Rzeczpospolita Babińska*.

Jako poeta wystąpił bardzo wcześnie, wspomniały poemat o Mochnackim, przedrukowywany wielokrotnie (także i w tej antologii) jest dziełem 18-to czy 19-to letniego poety, który osiągnął w nim klasyczną doskonałość formy przy zupełnej dojrzałości treści, nie tracąc jednak młodzieńczego rozpędu i fantazji oraz chłopięcej niemal bujności wizji poetyckiej, czem przypomina do pewnego stopnia wielkiego poetę francuskiego Artura Rimbaud'a. Lechoń jest w *Karmazynowym poemacie* poetą najściślej związanym z polską rzeczywistością z pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości, jego poemat trafnie zestawia W. Horzycę (w książce *Powrót Konrada*) z *Dziadami i Weselem*.

Drugi tom poezyj, to cykl wierszy refleksyjnych pełnych opanowanego ale może właśnie dlatego beznadziejnego pesymizmu, utwory to klasycznie doskonałe, zharmonizowane świetnie i wystylizowane na surową prostotę bezpośredniej wypowiedzi.

Z wierszy przedrukowanych dwa pierwsze pochodzą z *Karmazynowego poematu*, ostatni z tomu *Srebrne i czarne*.

Str. 70 — 76. ANTONI SŁONIMSKI (ur. w r. 1895) wydał (od r. 1918) tomy poezyj: *Sonet*, *Czarna wiosna*, *Harmonia*, *Parada*, *Godzina poezji*, *Droga na Wschód*, *Z dalekiej podróży*, *Oko w oko* i *Okno bez krat* (z wyjątkiem zbioru ostatniego poezje Słonimskiego ukazały się także zbiorowo). Jest autorem utworów dramatycznych *Wieża Babel*, *Murzyn warszawski*, *Lekarz bezdomny* i *Rodzina*, oraz dwóch powieści i kilku zbiorów felietonów, utworów satyrycznych, opisów podróży i kronik, z których zwłaszcza ostatnie cieszą się dużą popularnością (zbiory kronik tygodniowych przedrukowanych z *Wiadomości Literackich*: *Moje walki nad Bzdurą*, *Heretyk na ambonie* i *W becze przez Niagarę*).

Poetycka postawa Słonimskiego nie jest jednolita ani jednokształtna: od subtelnych wierszy lirycznych, od liryki bezpośredniej przez poezję wzruszeń intelektualnych (intelektualizm podkreślano wielokrotnie jako główną cechę jego twórczości) do poezji programowo-publicystycznej, okolicznościowej w tym sensie, że Słonimski reaguje bezpośrednio i doraźnie na wszystkie dostrzegalne fenomeny rzeczywistości sobie współczesnej. Jako poeta, publicysta i komediopisarz jest Słonimski wytrwałym, konsekwentnym i niezależnym rzecznikiem racjonalizmu, wielbicielem wiedzy nowoczesnej, liberalizmu, demokracji i humanitaryzmu. Ogarniając dość szerokie horyzonty myśli współczesnej jest wrogiem wszelkiego zakłamania, krzywdy i wyzysku społecznego, przy czym jednak w daleko posuniętych konsekwencjach swego stanowiska nie uznającym stanowisk innych, innych prawd poza

prawdą rozumu i innej postawy wobec zagadnień życia poza postawą lekką ironią nacechowanej sympatii i humanitarnego współczucia. Takie oblicze Słonimskiego-pisarza wygląda z najgłośniejszych kart jego utworów, choć przy bliższym zapoznaniu się z nimi można odkryć w twórczości jego pewne sprzeczności, antynomie czy kontrasty nie tak dobitne jednak, aby zacierają i przesłaniały zasadniczą postawę poety. Należy zaznaczyć, że postawie tej odpowiada swoisty styl poety, styl który trafnie nazwano dyskursywnym i agitatorskim. „Dyskurs — pisze o Słonimskim K. W. Zawodziński, najznakomitszy krytyk poezji współczesnej — jest jakby zasadniczą formą artystycznego obcowania poety ze światem zewnętrznym, jakby z żywym i wciąż mu przed oczyma obecnym partnerem rozmowy“.

Ten charakter mają w dużym stopniu przedrukowane w antologii utwory: przekład marsza bolszewickiego poety Majakowskiego z kapitalną odpowiedzią nań Słonimskiego, oraz dwa wiersze okolicznościowe, związane z głośnymi wydarzeniami z lat ostatnich, jeden z zamordowaniem Prezydenta Narutowicza, drugi z głośnymi w pierwszych latach po wojnie uroczystościami, święconymi przez państwa koalicyjne. (W wierszu tym objawia się humanitarny pacyfizm poety, w jednostronności swojej zdającego się nie dostrzegać istotnych, pozytywnych rezultatów Wielkiej Wojny). Dobór wierszy został dokonany tak, aby czytelnik zapoznał się z zasadniczą postawą Słonimskiego-poety, wobec czego musiano zrezygnować z liryk

bardziej bezpośrednich, mniej patetycznych i harmonijnie stonowanych.

Str. 77—81. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ (ur. w r. 1894) ogłosił wierszem (od r. 1919): *Okłostychy, Dionizje, Księga dnia i księga nocy, Powrót do Europy i Lato 1932*. Jest ponadto autorem kilku powieści poetyckich jak *Ucieczka do Bagdadu, Wieczór u Abdona, Legendy i Demeter* i in. (tu zaliczyć można także drobne utwory pisane prozą poetycką: *Kasydy i Pejzaże sentymentalne*) oraz powieści współczesnych: *Księżyc wschodzi, Zmowa mężczyzn, Panny z Wilką*. Ostatnio ogłosił powieść historyczną z czasów Polski dzielnicowej: *Czerwone tarcze*.

Najmniej znany (jako poeta) z pięciu głównych poetów grupy *Skamandra* (Tuwim, Wierzyński, Słonimski, Lechoń i Iwaszkiewicz) jest też Iwaszkiewicz poetą o indywidualności odrębnej i odosobnionej. Trafnie pisze o nim Tymon Terlecki (cytując z *Obrazu Czachowskiego*, któremu naogół dość dużo zawdzięczają te przypisy zwłaszcza przy zestawianiu dat bio- i bibliograficznych i ustalaniu sądów krytycznych w kilku wypadkach): „Wyraża się w poezji Iwaszkiewicza samotność, odosobnienie, metafizyczne uczucie istnienia osobniczego, zamkniętego w granicach indywidualności, poza którymi rozlega się obcość najzupełniejsza, poezja to dystansu, nie ma w niej nic z żywiołu. Poeta nie zdobywa się na żaden związek z życiem bieżącym. Jedno z współczesności bierze, jedno osiąga w stopniu istotnie niepospolitym: technikę słowa“.

Godząc się częściowo z powyższymi zastrzeżeniami krytyki, zaznaczyć jednak trzeba, że jest Iwaszkiewicz lirycznym czystej krwi, dającym w swych poezjach wyraz różnorodnym uczuciom i wzruszeniom psychiki bogatej, złożonej i odrębnej.

Jako prozator*) bardziej znany ogółowi czytelniczemu osiągnął Iwaszkiewicz duże wyniki w powieści *Księżyc wschodzi*, związanej krajobrazem ukraińskim z przeżyciami z dzieciństwa i wczesnej młodości poety oraz w powieści historycznej, której bohaterem jest Henryk Sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego, p. t. *Czerwona tarcza*.

Z utworów przedrukowanych w antologii *Nasza droga* pochodzi z *Kasyd*, *Piosenka dla zmarłej* z tomu *Księga dnia i księga nocy*, ostatni wiersz z tomu *Lato 1932*. We wszystkich tych utworach piękno i melancholijny urok i smutek przemijania oddane są z dużą dozą bezpośredniości mimo intelektualistycznego zabarwienia, co składa się na specyficzny „klimat” poezji (i prozy) Iwaszkiewicza.

Str. 82 — 86. KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA (ur. w r. 1892) ogłosiła od r. 1912 kilkanaście tomów wierszy, z których najważniejsze

*) Terminu: prozator używamy, gdy chodzi o twórcę świadomie i oryginalnie kształtującego formę wypowiedzi artystycznej w dziedzinie t. zw. prozy, a nie posługującego się, jak to czyni beletrysta, potocznym językiem i stylem szerokich sfer. W tym znaczeniu najwybitniejszymi prozatorami ostatniego dwudziestolecia są: Kaden-Bandrowski, Iwaszkiewicz i Bruno Schulz (autor *Sklepow cynamonowych*).

Śmierć Feniksa, *Połów*, *Opowieść o moskiewskim męczeństwie i Złoty wianek*, *Płaczący ptak*, *Zwierciadło nocy*, *Z głębi serca*, *Popiół i perły* i *Ballady bohaterskie*.

Twórczość Iłłakowiczówny tak syntetycznie ocenia K. Czachowski w trzecim tomie *Obrazu współczesnej literatury polskiej*:

„Na współczesnym Parnasie polskim Iłłakowiczówna zajęła bezsprzecznie jedno z kilku miejsc najbardziej czołowych. Na to zaś stanowisko wysunęła się nie tylko dzięki osiągniętemu mistrzostwu i bogatej różnorodności formy poetyckiej, ale zarazem dlatego, że nie zasklepiając się w narcyzowej autoanalizie, aczkolwiek wcale nie odrzucając myśli o sobie i nieraz ulegając nastrojowi osobistych pragnień, umiała wszakże po własnej duszy wspiąć się ponad siebie, aby ogarnąć sprawy szersze, ogólne, społeczne, zawodowe, znaleźć w nich pole głębokich wzruszeń uczuciowych i dać im wyraz szczerze natchniony i rzetelnie artystyczny. Owa wyjątkowa postawa twórcza poetki sprawiła, że Iłłakowiczówna, mimo wyraźnie określone oblicze ideowe, cieszy się uznaniem powszechnym, niezamąconym żadnymi względami ubocznymi. W naszej literaturze współczesnej jeden to z niewielu tryumfów tak zupełnych i niewątpliwych“.

Bogatą twórczość Iłłakowiczówny trudno przy jej różnorodności scharakteryzować kilkoma utworami. Zwłaszcza tematyka i strona ideowa wykazuje wielką różnorodność i bogactwo. Zarówno autoanaliza psychologiczna, (*Śmierć Feniksa*), jak wspomnienia „kraju lat dzieciennych” (Litwy) (*Popiół i perły*), zagadnienia narodowe, społeczne i pań-

stwowe obok obrazów przyrody i śpiewów i dum historycznych (niesłusznie *Balladami bohaterskimi* nazywanych) to mimo ich obfitość najszybsze jeszcze tematy jej utworów. Natomiast od strony technicznej utwory Młakowiczówny łączy wspólnota odrębnej, jej tylko właściwej (choć chętnie naśladowanej) rytmiki i stylizacji wypowiedzi poetyckiej na rozlewny — niepozabawiony zresztą dłużyzn i łatwizn — ton swobodnej, bezpośredniej gawędy lub prymitywu.

Z wybranych tu wierszy dwa pierwsze pochodzą z wcześniejszej doby twórczości poetki, ostatni z Wierszy belwederskich, stanowiących jeden z cykli *Ballad bohaterskich*.

Str. 87 — 89. MARJA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA (ur. w r. 1895) ogłosiła następujące tomy poezji: *Niebieskie migdały*, *Różowa magia*, *Pocałunki*, *Wachlarz*, *Dancing*, *Cisza leśna*, *Paryż*, *Profil białej damy*, *Surowy jedwab*, *Śpiąca załoga*, *Balet powojów*. Jest także autorką kilku utworów dramatycznych (głównie komedij, cieszących się znacznym powodzeniem na scenach stołecznych i prowincjonalnych, drukiem dotąd nieogłoszonych).

Według dość zgodnego zdania krytyki jest Jasnorzewska „najszczerzym i najgłębszym (obok Zofji Nałkowskiej) wyrazem duszy kobiecej w literaturze” (Czachowski). W twórczości jej można wyróżnić dwa etapy ewolucji: od egotyzmu do obiektywizmu, od narcystycznych zachwytów nad sobą, nad swoją kobiecością do racjonalistycznego

(w duchu publicystyki Boya-Żeleńskiego) rozważania spraw człowieka i społeczeństw. Utwory to przeważnie króciutkie, nieraz misterne i trafne, czasem niepozabawione pretensjonalności, częściej zwarte, pełne ekspresji i epigramatycznej jasności i zwięzłości.

Z dwu wierszy przedrukowanych w antologii *Morze* jest przykładem jej dość obfitej i wielce oryginalnej poezji marynistycznej (z tomu *Cisza leśna*), *Barwy narodowe* to poemacik o znakomitej, epigramatycznej ekonomii słowa i obrazowania (ze zbioru: *Balet powojów*).

Str. 90. JOZEF WITTLIN (ur. 1896) wydał jedyny dotąd tom poezji *Hymny* (trzy wydania). Poza tym obok zbiorów szkiców i listów z podróży ogłosił przekład *Odyssei* i pierwszy człon trylogii powieściowej na tle Wielkiej Wojny: *Sól ziemi*.

Wittlin wystąpił jako poeta pod koniec Wielkiej Wojny, toteż *Hymny* noszą piętno przeżyć duszy wrażliwej na ból i cierpienie ludzkości nekanej wojną i nieszczęściami, jakie za sobą pociąga. Poezja to wybitnie humanitarna, pacyfistyczna, formalnie, jak to wielokrotnie zauważono, zależna od Kasprowicza, choć pozbawiona jego głębi i siły, a przede wszystkim jego ekspresji i bogactwa artystycznego. Związany z grupą *Zdroju*, później *Ska-mandra*, pracował przez szereg lat nad *powieścią o cierpliwym piechurze*, która ma być ukoronowaniem jego twórczości i w pierwszej części przynosi obraz wybuchu i początku Wielkiej Wojny.

Lament przedrukowany w tej antologii warto zestawić z wojennymi utworami poetów-legionistów, poetów o psychicie silnej i reagujących na fakt Wielkiej Wojny jako na konieczność dziejową, która narodowi polskiemu miała przynieść niepodległość.

Str. 91. LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW (ur. 1891) ogłosił *Słoneczny śmiech*, *Drogę do Emaus* i *Białoruś*. Zajmował się także teorią poezji, a ostatnio ogłosił kilka przyczynków do życiorysu Mickiewicza. Podhorski-Okółów jest poetą o szczyrych akcentach uczuciowych zwłaszcza w utworach osnutych na tle wspomnień dzieciństwa, spędzonego na Kresach (*Białoruś*).

Str. 92—95. JULIAN EJSMOND (ur. w r. 1892 zm. w r. 1930) ogłosił poza młodzieńczymi próbami tom liryków *Miłość wieczna*, szereg znakomitych przekładów z Owidiusza, Sarbiewskiego i Kochanowskiego (utworów łacińskich), oraz kilka tomów wrażeń myśliwskich i opowiadań z życia zwierząt i drzew (*W puszczy* i *Żywoty drzew*). Największą jednak sławę zyskał swymi bajkami, w których godnie kontynuuje najpiękniejsze tradycje bajki polskiej: Krasickiego, Trembeckiego, Mickiewicza i Lemańskiego.

O Ejsmondzie-bajkopisie tak pisze prof. Józef Ujejski we wstępie do zbiorowego, pośmiertnego wydania bajek p. t. „Stół i nożyce“, z którego przedrukowano trzy bajki w antologii:

„Wśród bajek Ejsmonda niema wcale bajek z morałem. Unikał tego świadomie i z zasady. Od początku swojej twórczości uważając tę formę wypowiedania się — bajkę właśnie — za najbardziej składną z naturą swego talentu, przemyślał wczas jej rozwój dziejowy i sens i warunki artyzmu i doszedł do przekonania, że nic jej tak nie szkodzi jak dydaktyka... Każdą tradycyjną formą bajki władał Ejsmond biegle... Stać go było na duży kunszt w budowie wierszy i strof i ma niemałą w tym kunszcie rozmaitość... Sztuki swej pisarskiej uczył się u pisarzy wieku XVI i w krew mu jakby wszedł języka ich tok i kolor zdroworumiany“.

Str. 99—102. JERZY LIEBERT (ur. w r. 1904 zm. w r. 1931) ogłosił za życia *Drugą ojczyznę* i *Gusła*. Po śmierci wyszedł trzeci zbiór *Kotłyszanka jodłowa* i zbiorowe wydanie *Poezji* (1934 z przedmową Leopolda Staffa).

W pierwszych zbiorach zależny od poetów Skamandra wzniosł się Liebert w swych ostatnich wierszach, pisanych przed śmiercią i w przeczuciu bliskiego zgonu na wyżyny samorodnego, oryginalnego artyzmu, wstrząsającego swą prostotą, bezpośredniością i najczystsza liryczną inspiracją.

Największy to chyba *liryk* ostatnich lat, poeta zasłuchany w odgłosy kroków zbliżającej się śmierci i z głęboką wiarą wpatrzony w drugą, pośmiertną ojczyznę. Osiągnawszy niezwykle wcześniej wyżyny artystycznej ekspresji zdobył w kilkunastu ostatnich wierszach doskonałość lirycznego, abso-

lutnego zaśpiewania, niedostępnego innym twórcom tej epoki. To też trudno się zgodzić ze słowami L. Staffa, że „nieubłagana śmierć nie pozwoliła mu roztoczyć całego zasięgu skrzydeł“, wprost przeciwnie: poezja przedśmiertna Lieberta wznosi się na niedostrzegalnych, obłocznych skrzydłach ku niebu, aby znizywszy lot zatrzymać się nad stajenką betlejemską i otwartą mogiłą, w której wkrótce miały spocząć zwłoki poety.

Wybór w niniejszej antologii uwzględnia oczywiście tę przedmoglą, przepiękną lirykę Lieberta, w której obok bolesnej pewności bliskiego zgonu brzmi czysty akord głębokiej wiary.

Str. 103 — 105. Pokrewną organizacją psychiczną i artystyczną był JAN ZAHRADNIK (ur. w r. 1904, zmarł w r. 1929), poeta i dziennikarz związany ściśle z rodzinnym Lwowem, gdzie spędził całe krótkie życie. Zahradnik nie dorównywał Liebertowi głębią przeżycia ani doskonałą prostotą formy, potrafił jednak, podobnie jak tamten w przeżyciu śmierci, dać wyraz trafny i piękny swej prawdziwie poetyckiej organizacji psychicznej w wierszach doskonałych formalnie choć całkowicie prawie zależnych od poezji Młodej Polskiej (głównie od Staffa). Oba wiersze tu przedrukowane pochodzą ze zbioru *Ludziom smutnym*, ogłoszonego w r. 1925. Wczesna śmierć (umarł podobnie jak Liebert na gruźlicę) nie pozwoliła mu na osiągnięcie własnego, odrębnego wyrazu, którego przebliski widnieją w ostatnich wierszach poety.

Str. 106 — 108. FELICJA KRUSZEWSKA ogłosiła zbiory wierszy: *Przedwiośnie*, *Stąd dotąd*, *Siano* i *Twarzą na zachód*. Poza tym wydała tom wspomnień z lat dzieciennych *Błękitny ogród* i alegoryczny dramat *Sen*.

Pierwsze tomy Kruszewskiej przynoszą lirykę bezpośredniego zapatrzenia w świat poznawalny zmysłami, wyrażając najczęściej zachwyt nad pięknem przyrody (zwłaszcza w tomie *Siano*, skąd przedrukowano wiersz *Wakacje*), ostatni *Twarzą na zachód* cechuje zwrot w kierunku intelektualistycznej percepcji współczesności. Mimo widocznych zależności i związków z poezją współczesną ma Kruszevska swą własną postawę twórczą, dzięki której zasługuje na wyróżnienie z legionu poetek doby ostatniej imitujących najczęściej z większą lub mniejszą zręcznością a często z niewolniczym mimetyzmem dwie najgłośniejsze poetki współczesne: Iłakowiczówną i Pawlikowską.

Str. 109 — 114. JAN BRZECHWA (właściwie Jan Lesman) ogłosił: *Oblicza zmyślone*, *Talizmany*, *Trzeci krąg* (zawierający także poprzednie zbiory) i *Piołun i obłok*.

W postawie poetyckiej Brzechwy uderza przede wszystkim łatwość, z jaką poeta wchłania oddziaływające nań zjawiska i pojawia rzeczywistości aż do wpływów poetyckich włącznie. Brzechwie wystarczy niejednokrotnie jedno słowo, jedno zestawienie wyrazów, czy stopa metryczna, aby wygrać na niej wielorakie wariacje, żeby nawijać na nie barwne strzępki obrazów i motywów. Nad

tym rozśpiewaniem się i zachłystywaniem słowem czasem nawet manierycznym unosi się zapach poetyckich koncepcji w duchu panteistycznej myśli łączącej człowieka z przyrodą w mistyczną unię i w objawach życia dopatrującej się metempsychicznej przemienności kształtów i form. Czerpie przy tym Brzechwa obficie z niższych pokładów konstrukcji poetyckich i metafizycznych Leśmiana oraz z magii słowa Tuwima, uzyskując jednak mimo całej zależności od tych poetów własne osiągnięcia i własne oblicze artystyczne.

W wyborze tym uwzględniono jednak raczej wiersze o bardziej bezpośrednim stosunku do świata i rzeczywistości: wiersz *Expres* (ze zbioru *Oblicza zmyślone*) rozśławiony przez znakomitą recytatorkę Kazimierę Rychterównę, tchnący pięknem humanitaryzmu wiersz *Przymierze* (z *Trzeciego kręgu*) i z ostatniego zbioru *Piołun i obłok* wiersz *Nie jestem z Jego tysiąca*, napisany pod wpływem wieści o zgonie Marszałka Piłsudskiego.

Str. 115—117. WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK (ur. w r. 1900) ogłosił zbiory poezji: *Modlitwa o słowo*, *Cień skrzypka*, *Nowa Muza*, *Spacer nad Wisłą*, *Pamięci matki* i *Wiersze* oraz przekłady z Lermontowa i Puszkina.

Słobodnik wraz z Ciesielczukiem, Flukowskim, Dobrowolskim, Rydzewską, Piechalem i Sebyłą należy do *Kwadrygi*, jedyne po *Skamandrze* ugrupowania poetyckiego o większym zasięgu i wyraźnym obliczu ideowym. Słobodnik jest poetą życia i pracy wsi mazowieckiej, w wierszach prze-

jawia dobre opanowanie rzemiosła poetyckiego, wznosząc się niekiedy na wyżyny artyzmu, jak w znakomitym wierszu *Praca*, przedrukowanym w antologii. Wiersze jego cechuje duża skala liryzmu, szczerego i łagodnego, obok znacznej plastyki obrazowania i ekspresji dźwiękowej.

Wszystkie wiersze Słobodnika tu przedrukowane pochodzą z tomu *Cień skrzypka*

Str. 118—122. STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI wydał: *Pożegnanie Termopil*, *Autoportret*, *Wróżby* — *Zajazd romantyczny* i *Powrót na Powiśle* (poemat).

Dobrowolski jest poetą realizującym z głębokiego przeświadczenia społeczną ideologię *Kwadrygi*, toteż pieśń jego jest buntownicza, współczująca niedoli ludzkiej, dynamiczna raczej niż kontemplująca życie. Jego radykalizm społeczny jest jednak — w przeciwieństwie do wielu poetów dzisiejszych, idących na modę lub snobistycznie społecznikowskich — szczerzy i niezakłamanego. Jego artyzm jest dość jednostronny ale rzetelny, poeta umie nadać swym wizjom artystycznym (głównie w *Powrocie na Powiśle* najlepszym dotąd swym utworze) kształt realny i plastyczny, przy czym podkreślić należy świadomy wysiłek artystyczny, zmierzający w kierunku opanowania formy i ukształtowania i wzbogacenia języka poetyckiego.

Poemat „Powrót na Powiśle“ osnuty jest na tle rewolucji 1905 r., a ideą — idea społecznego humanitaryzmu, owej — jak mówi poeta — ewan-

geli poetyckiej poszukiwanej przez młode pokolenie poetów.

Str. 123—125. STANISŁAW CIESIELCZUK (ur. 1906) poezje: *Chaty w obłokach*, *Wieś pod księżycem*, *Pies kosmosu*, *Głazy i struny*, *Pentaptyk lapidarny*.

Już tytuły pierwszych tomików wskazują na postawę poety, który opiewa w nich wieś, przyrodę, pracę na roli i życie ludu. Wiersze to pełne liryzmu i bogatego obrazowania, ale także zamysłone i zabarwione pierwiastkiem refleksji, co wskazuje na dalszy rozwój poety, uwieńczony jak dotąd ostatnim, niepokątnym swą objętością, ale bogatym w dorobek myślowy zbiorem.

Z wierszy przedrukowanych w antologii *Zwyczajność i Żniwa* odchodzą przedrukowano z tomu *Głazy i struny*, *Dwa ekstremy z Pentaptyku lapidarnego*.

Str. 126 — 129. MARIAN PIECHAŁ (ur. 1905) ogłosił wierszem: *Krzyk z miasta*, *Elegie całopalne*, *Garść popiołu i Srebrna waga*, oraz prozą *Anioł i Jakób* (trzy dialogi z Adamem Skwarczyńskim).

Piechał, zarówno jako publicysta jak i jako poeta, łączy najściślej zagadnienia społeczne z narodowo-państwowymi i jest najpoważniejszym bodaj z młodszego pokolenia poetów wyrazicielem troski o byt i dobro Państwa Polskiego. Wolny od czezej frazeologii narodowej czy radykalizującego zakłamania jest poetą refleksji społecznej i państwowej poszukującym rozwiązań w dobie kryzysu dawnych haseł i przebrzmiałej ideologii (*Elegie ca-*

łopalne, *Garść popiołu*). Dopiero w ostatnim tomie przechodzi do zagadnień filozoficznych, odmierzając na *Srebrnej wadze* szczypty poezji i rozmyślań o wiecznej Tajemnicy; czyni tu jakby obrachunek ze swych wierzeń, poglądów i myślowych osiągnięć. Refleksyjna, poważna i surowa Muza Piechała lubuje się w wypowiedzi samodzielnie ukształtowanej, unika utartych i łatwych szablonów, posiada głęboki patos lub też idzie w kierunku szlachetnej prostoty. (Ten wysiłek artystyczny, ta widoczna dbałość o własny wyraz cechuje również niektórych innych młodszych poetów jak Ciesielczuka, Dobrowolskiego i Sebyłę przede wszystkim).

Itaka Conrada jest jedną z *Elegii całopalnych*, *Czas wzięty* jest z cyklu *Srebrna waga*.

Str. 130—132. JÓZEF CZECHOWICZ (ur. 1903) wydał: *Kamień*, *Dzień jak codzień*, *Ballada z tamtej strony*, *Z błyskawicy* i *Nic więcej*. Czechowicz, poeta luźnie związany z grupą *Kwadrygi*, jest, jeśli chodzi o osiągnięcie a nie teoryzowanie czy eksperymentowanie, najwybitniejszym przedstawicielem lewicy literackiej (w znaczeniu czysto artystycznym). Hołdując tendencjom surrealistycznym, posługuje się zazwyczaj obrazowaniem, kojarzącym nieraz odległe wyobrażenia i pojęcia oraz obfitującym w bogatą metaforykę. Niemal zawsze jednak skojarzenia te dają świeżość i nową a nie sztucznie wymyślną treść artystyczną, nasyconą przy tym liryzmem subtelnym i sugestywnym, jak w obu wierszach przedrukowanych w antologii. Lekturę

utworów Czechowicza utrudnia nieco manieryczne unikanie interpunkcji i wielkich liter, mające na celu zasugestionowanie czytelnikowi, że płynności inspiracji poetyckiej powinna odpowiadać płynność recepcji utworu przez czytelnika czy słuchacza.

Utwór „piłsudski” pochodzi z tomu *ballada z tamtej strony*, „przez kresy” ze zbioru: *nic więcej*.

Str. 133 — 137. WŁADYSŁAW SEBYŁA (ur. 1902) wydał: *Oczy, usta, serce* (wspólnie z A. Maliszewskim), *Pieśni szczurołapa* i *Koncert egotyczny*.

Pierwszy, obszerniejszy zbiór poezji Sebyły (*Pieśni Szczurołapa*) stanowią wiersze o wyrazistym, miejscami szorstkim rytmie, dobrze jednak zharmonizowanym z niekiedy jaskrawą, a zawsze dobitną ideologią humanitarną, radykalnie postępową i pacyfistyczną. Utwory te ujmują młodzieńczą szczerością, zapałem i dynamiką patosu rewolucyjnego, pragnącego przekształcić świat samolubów i wyzysku społecznego w nowe, szlachetne formy. W *Koncerte egotycznym* przechodzi poeta do zagadnienia — jak pisze Czachowski — „zmagania się osobowości człowieka z zewnętrznym światem, ja z nie-ja”, utwór ten według może zbyt entuzjastycznego sądu tego krytyka, „należy uznać za jedno z nielicznych, najświetniejszych osiągnięć poezji filozoficznej”.

Z przedrukowanych w antologii utworów Sebyły: *Sztab* i *Górnicy* pochodzą z *Pieśni szczurołapa*, *Wiosna* jest wierszem zamykającym tom *Koncert egotyczny*, przy czym zaznaczyć należy, że

nie dawaliśmy wyjątków z dłuższych poematów, nie chcąc rozrywać i kawałkować utworów, posiadających zwartą całość.

Dodać należy, że Sebyła jest poważnym, sumiennym i uczciwym krytykiem literackim, starającym się bez uprzedzeń i z góry powziętych sądów zrozumieć każdą indywidualność poetycką, każdą postawę twórczą, w czym ustępuje jedynie najwybitniejszemu znawcy poezji współczesnej K. W. Zawodzińskiemu.

Str. 138 — 141. MIECZYŚLAW JASTRUN wydał *Spotkanie w czasie*, *Inną młodość* i *Dzieje nieostygłe*.

Poezja Jastruna, dojrzała artystycznie i myślowo, odznaczająca się obok bogactwa obrazowania i odrębności własnego wyrazu poetyckiego, także wielką kulturą artystyczną i umysłową, zyskuje mu coraz większe zastępy czytelników i entuzjastyczne niemal uznanie krytyki, podkreślającej zwłaszcza dojrzałość osiągnięć tego poety, którego każdy niemal utwór ma swój własny, odrębny charakter (Czachowski).

Oba wiersze przedrukowane w antologii pochodzą z tomu *Spotkanie w czasie*, a są zarazem przykładem poezji związanej tematowo ze śmiercią lub rocznicami wielkich twórców (Śmierć Żeromskiego, Kasprowicza i Conrada, sprowadzenie do Polski zwłok Słowackiego, rocznica Kochanowskiego i t. p. zrodziły całe mnóstwo utworów poetyckich, których okolicznościowość bardzo często nie klóci się z ich poziomem artystycznym).

Str. 142 — 145. ANTONI MADEJ wydał: *Płonące lonty, Pieśń o Bałtyku, Widnokrag, Twarz, W grudzie ziemi, Linie i granice.*

Mimo bogatej ilościowo twórczości nie posiada jeszcze Madej wyraźnie skryształizowanej postawy twórczej; to co zauważyć się daje (opiewanie przyrody, refleksyjność, tematy wiejskie i t. p.) nie upoważnia jeszcze do określenia typu twórczego czy wyróżnienia cech indywidualnych w ten lub inny sposób.

Pieśń o Bałtyku, przedrukowana z tomu pod tym tytułem, napisana została pod wyraźnym dyktandem *Wiatru od morza* Żeromskiego; jest to jeden z niezliczonych hołdów złożonych wielkiemu pisarzowi przez oba pokolenia poetów naszej doby, a zarazem odgłos nastawienia społeczeństwa polskiego na front morski.

Str. 146 — 150. WOJCIECH BĄK (ur. w r. 1907) wydał zbiory: *Brzemie niebieskie* i *Śpiewna samotność*.

Pierwszy tom poezyj Bąka, ogłoszony w r. 1934, zyskał mu duże uznanie, poparte przyznaniem nagrody *Wiadomości Literackich*. I trzeba zaznaczyć, że poeta na wyróżnienie to w zupełności zasługuje, gdyż jest talentem świeżym i szczerym, a jego poezja wyróżnia się z całej produkcji poetyckiej kilku lat ostatnich akcentami niewątpliwie szczerymi, a głoszącymi potrzebę wiary i odnalezienia absolutnie pewnej prawdy na miejsce panującego relatywizmu. Wszystkie niemal wiersze Bąka zrodzone są z walki, jaką stacza rdzennie zdrowa i krzepka psychika poety, głęboko religijna i łatwo

zapalna, z duchem ziemi, z przyziemnością, materializmem, obłudą i krzywdą społeczną. Tym mocnym akcentem ideologicznym towarzyszy i podkreśla je śmiała i dynamiczna ekspresja słowna i obrazowa, często grzesząca zbytnią retoryką, donośną i nawet krzykliwą. Jest to więc jeszcze jeden bunt młodości, jeszcze jeden wzlot „nad poziomy“, ale przy całej swej powtarzalności piękny, wartościowy i mimo bardzo wyraźnych wpływów formalnych (Leśmiana, Tuwima, Kasprovicza i Staffa) oryginalny.

Z wierszy podanych w antologii *Wskrzesciel Łazarza* i *Wiersz o Polsce* pochodzą z tomu *Brzemie niebieskie*, *Mój Bóg* i *Aniołowie* z drugiego tomu (*Śpiewna samotność*), wydanego wkrótce po pierwszym i będącego tamtego kontynuacją czy uzupełnieniem.

Str. 151 — 155. ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI wydał: *Ludzie wśród ludzi, Mieszkański poemat* i *Trzyście wierszy*.

Jeżeli pierwsze dwa zbiory poezyj świadczą, że indywidualność poetycka Karpińskiego nie została jeszcze skryształizowana, czy nie odsłoniła jeszcze wszystkich swych możliwości, to zbiór ostatni (*Trzyście wierszy*), nagrodzony przez Polską Akademię Literatury, zawiera utwory całkowicie dojrzałe i o bogatym artyźmie zwłaszcza w dziedzinie plastyki obrazowania i ozdobności metafory. Na szczególne wyróżnienie w zbiorze tym zasługuje świetny *Poemat* gotycki: skłonność do groteski, często w innych utworach wy-

bujała i nie zestrojona należycie, tu została ścięta i organicznie zrosnięta z tematem; przepych ornamentyki, narastanie dwuwierszy poematu, które układają się architektonicznie i wyrastają smukłymi liniami w górę obok znakomicie odrysowanej postaci „świętego“ składają się na całość bezwzględnie doskonałą, przy czym koncepcja artystyczna utworu zaznacza się wyraziście i oryginalnie: poprzez bogactwo form i linii nad stężała w ekstazie postacią „świętego“ nachyla się ironicznie uśmiechnięta twarz człowieka współczesnego, zaopatrzonego w skalpel analizy psychoanalitycznej.

Oba poematy wchodzi w skład *Trzynastu wierszy*, przy czym *Czarny maj*, zamykający antologię, jest jednym z kilkunastu wieńców, złożonych przez poezję współczesną na trumnie Pierwszego Marszałka Polski.

UZUPEŁNIENIA

POECI POMINIĘCI W ANTOLOGII. Baczniejszy czytelnik zauważy z pewnością brak szeregu nazwisk, z których niejedno ma już pełne brzmienie i znajduje oddźwięk wśród czytelników. Będzie tu chodziło przede wszystkim o szereg pisarzy, którzy już w dobie Młodej Polskiej, w okresie przedwojennym zdobyli rozgłos i uznanie, a w okresie tu omawianym kontynuowali swą twórczość. Dość wymienić trzy wielkie nazwiska naszej poezji: Kazimierza Tetmajera, który po wojnie ogłosił ósmą serię swych poezyj, Jana Kasprówicza (*Księga ubogich* i *Mój świat*) oraz Leopolda Staffa (*Żywiąc się w locie*, *Ścieżki polne*, *Ucho igielne* i *Wysokie drzewa*). Uczyniono to rozmyślnie: już bowiem sam należycie skonstruowany wybór poezyj tych poetów, choćby tylko z ostatniej fazy ich twórczości, wymagałby rozmiarów niemal tak dużych, jak wybór trzydziestu autorów w tym tomie, a mimo to byłby niekompletny i nie uwzględniałby całej linii rozwojowej ich dzieła. Zresztą posiadamy dość liczne wybory poezyj tych poetów, z ostatnio wydanych zwraca uwagę *Wybór poezyj* Kasprówicza w opracowaniu prof. Stefana Kołaczkowskiego w wydaniu

Wielkiej Biblioteki, a Kazimierza Tetmajera przygotowuje w tymże wydawnictwie Ostap Ortwin. Z podobnych względów pominięto tu również ostatni etap twórczości Bronisławy Ostrowskiej (*Pierścień życia i Tartak słoneczny*) oraz M. Wolskiej (*Dzbanek malin*). Z innych względów pominięte zostały także poezje świetnego poety Stanisława Maykowskiego, gdyż twórczość jego rozrzucona po czasopiśmie najczęściej mało dostępnych a niezbrana dotąd w żadnym tomie nie pozwala na rozejrzenie się i dokonanie choćby powierzchownego wyboru.

Z innych wybitnych poetów przedwojennych: Józef Ruffer, Stanisław Miłaszewski, Antoni Lange, Jan Lemański, Kornel Makuszyński, Or-Ot (Artur Oppman), Stanisław Wyrzykowski i in. ogłosili jedynie nowe wydania zbiorów wcześniejszych lub też z powodów omówionych przy tamtych poetach nie zostali w antologii uwzględnieni.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o mniej lub bardziej znanych poetów pokoleń wojennego lub powojennego, dla których w antologii tej zabrakło miejsca, choć może ten i ów według indywidualnego osądu któregoś z krytyków na uwzględnienie by zasługiwał i raczej jego w miejsce któregoś z wybranych należałoby w książce tej zareprezentować: w tym wypadku jednak musi poza wszelkimi względami czy nakazami krytyki, na rzecz której zresztą wydawca niejedno odstępstwo od swych poglądów uczynił, zdecydować cel książki, jej rozmiary i własne wydawcy zdanie. Żeby jednak niejedno może przeoczenie

czy błędne stanowisko poprawić, a przede wszystkim żeby ułatwić czytelnikom dalszą lekturę i zorientowanie się w ilościowym przynajmniej bogactwie poezji współczesnej podaje się niżej wykaz poetów (oczywiście niekompletny) w antologii nieuwzględnionych z tytułami zbiorów ich poezyj.

Alberti Kazimiera. Bunt lawin, Mój film, Godzina kalinowa.

André Lucjan. Szlakiem Niepodległych, Walka o człowieka, Utwory zebrane i inne.

Baliński Stanisław. Wieczór na wschodzie.

Bąkowski Stanisław. Gawędy z Panem, Ścieżki ułomnych, Oczy godzin i inne.

Boyé Edward. Sandał skrzydlaty.

Bielecki Adam. Akwarium ulic, Spiekota.

Bogusławski Antoni. Honor i ojczyzna.

Birkenmajer Józef. Poszumy Bajkału, Wycieczka.

Braun Jerzy. Najazd centaurów, Oceaniada, Dywan rozkwitający, Ziemia i niebo, Tancerz otchłani.

Braun Mieczysław. Rzemiosła, Przemysły.

Broniewski Władysław. Dymy nad miastem, Wiatraki, Troska i pieśń.

Brzękowski Jan. Na katodzie, W drugiej osobie.

Brzostowska Janina. Szczęście w cudzym mieście, Erotyki, Najpiękniejsza z przygód i inne.

Buniewicz Wacław. Wiosna, Ballady, Rapsod mazowiecki.

Czereśniewski Wawrzyniec. Odkrywanie tajemnic, Przemiany.

Czernik Stanisław. O polskim płocie.

Czerny Anna Ludwika. Uwrocie, Testament Adama.
Czuchnowski Marian. Poranek goryczy, Kobiety i konie, Reporter róż.
Czyżewski Tytus. Pastorałki, Zielone oko.
Czarnecki-Denhoff Wacław. Piosenki i wiersze, Włóczęga.
Dziekoński Albin. Bajki, satyry, liryka, Elegie.
Fierla Adolf. Kopalnia słoneczna.
Flukowski Stefan. Słońce w kieracie, Dębem rosne.
Gałczyński Konstanty Ildefons. Koniec świata (i w czasopiśmie).
Gamska-Łempicka Jadwiga. Przechodniom, Między niebem a ziemią.
Grossek-Korycka Maria. Niedziela palem, Pamiętnik liryczny.
Hollender Tadeusz. Poezje po czasopiśmie.
Hulewicz Witold. Płomień w garści, Miasto pod chmurami i inne.
Husarski Karol. Poezje po czasopiśmie.
Janowski Jarosław. Siejba tęcz.
Januszewska Helena. Dom na wyspie, Exodus.
Jaworski Kazimierz Andrzej. Czerwonej i białej ko-chance, Księżycowy mustang, Na granitowym maszcie, Więcierze.
Jędrkiewicz Edwin. Pieśń o ogniu i wodzie i po czasopiśmie.
Kączkowski Czesław. Gon.
Kleszczyński Zdzisław. Pogrzeb lalki, Poezje.
Kotonecki Roman. Wschody i zachody, Kosodrzewina, Kryształ młodości, Solo fletowe.
Konopacka Halina. Któregoś dnia.
Konopka Feliks. Słowa w ciemności.

Kosidowski Zenon. Szalony łowca.
Kościński W. Tercyny.
Kozikowski Edward. Płomyk świecy, Wymarsz swierszczów, W towarzystwie wierzby i in.
Kozłowski-Jastrzębiec Czesław. Gałązka z za płotu, Błękitna brama.
Kurek Jalu. Upały, Mohingangas, Śpiewy o Rze-czypospolitej, Usta na pomoc.
Kruczkowski Leon. Młoty nad światem.
Lewik Włodzimierz. Moje prowincjalki.
Lewin Leopold. Wyrab lasu, Kora pisana, Sen zimowy.
Ligocki Edward. W ogrodzie róż.
Lisiewicz Mieczysław. U 33, Legendy i ballady, Coronel.
Łazowertówna Henryka. Zamknięty pokój, Imiona świata.
Łobodowski Józef. Gwiazdny psalterz, Słońce przez szpary, Rozmowa z ojczyzną.
Maliszewski Aleksander. Czarna Beatrycze.
Miciński Bolesław. Chleb z Getsemane.
Miller Jan Nepomucen. Lacrimae rerum, Korowód.
Młodożeniec Stanisław. Kreski i futureski, Kwadraty, Niedziela, Futurogamy i futuropejzaże.
Morstin Ludwik Hieronim. Radość i frasunek.
Mortkowiczówna Hanna. Jarzębiny, Niepotrzebne serce.
Napierski Stefan. Odjazd, Ziemia wolna, Obrazy z podróży, Ziemia, siostra daleka i inne.
Naglerowa Herminia. Otwarte oczy.
Newlin-Wagner Tadeusz. Zaczarowany dom.

Obertyńska Berta. Pszczoły w słoneczniku, Głóg przydrożny, Klonowe motyle.
Peiper Tadeusz. Poematy.
Paczkowski Jerzy. Poezje po czasopismach.
Pawlikowski Michał. Wiosenny gość, Harfa Eola.
Polaczek Jerzy Stanisław. Pochód Olimpijczyków, Algebra zwycięstw.
Prędko Artur. Poezje.
Przybos Julian. Śruby, Oburącz, Z ponad, Wgłęb las.
Rydzewska Nina. Miasto.
Rytard Jerzy Mieczysław. Noże wiosny.
Sarnecki Tadeusz. Poszukiwanie siebie.
Skuza Wojciech. Kolorowe słowa, Kumac.
Słończyńska Anna. Niebieski gość, Barwy i dźwięki
Stempowski Janusz. Legenda o masztowej sośnie.
Stern Anatol. Anielski cham.
Szantoch Tadeusz. Cyklady, Po czubańskim gościńcu, Z lutni żołnierza.
Szczawiej Jan. Miłość tworząca, Gałąź czeremchy.
Szenwald Lucjan. Poezje po czasopismach.
Swieżawski Ludwik. Śmiech zieleni, Wozy jadące.
Timofiejew Grzegorz. Niema mnie w domu, Inny horyzont.
Tuwim Irena. Listy, Miłość szczęśliwa.
Waśkowski Antoni. Poezje (3 tomy).
Ważyk Adam. Semaforey, Oczy i usta.
Wołoszynowski Julian. Okulary, Potęga snu.
Żelechowski Wacław. Struny świata, W cieniu brzoź i kominów i inne.

LITERATURA KRYTYCZNA. Najobszerniejszym opracowaniem literatury współczesnej jest

Obraz współczesnej literatury polskiej 1884—1934 Kazimierza Czachowskiego 3 tomy, w których okresu przedstawionego w antologii tyczy drugi i zwłaszcza trzeci tom (Ekspresjonizm i realizm). Poza tym ostatnie wydanie Wilhelma Feldmana *Współczesnej literatury polskiej*, doprowadzone przez autora do pierwszych lat niepodległości, zostało uzupełnione (do r. 1930) przez Stefana Kołaczekowskiego. Istnieje również antologia poetycka A. Galińskiego *Poezja Polski Odrodzonej* (1918—1930), w części drugiej zawierająca omówienie poezji tych lat. Z większych zbiorów recenzyj, artykułów krytycznych, polemicznych i teoretycznych wymieniamy tylko najważniejsze i łatwiej dostępne: Karola Irzykowskiego *Walka o treść* i *Słoń wśród porcelany*, Ostapa Ortwinia *Próby przekrojów* (o Leśmianie, Tuwimie, Słonimskim, Małaczewskim, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i innych, także o Kasprowiczu i Staffie) oraz Tadeusza Peipera zbiór polemik i artykułów teoretycznych o „nowej poezji“ p. t. *Tędy*. Doroczny dorobek literacki rejestruje i omawia Rocznik Literacki (za lata 1933, 1934 i 1935—twórczość liryczną omawia w pierwszych dwu rocznikach K. W. Zawodziński, w ostatnim Wł. Sebyła). Z pism literackich, poświęcających więcej miejsca poezji, wymienić należy stołeczne tygodniki *Wiedomości Literackie*, *Pion* i *Prosto z mostu*, miesięczniki *Skamander*, *Kamena* i *Okołica poetów* oraz kwartalnik *Marcholt*.

TREŚĆ

ANTOLOGIA

Część pierwsza

	Str.
Edward Słoński: Już ją widzieli idącą	9
— Ta, co nie zginęła	11
Juliusz Kaden-Bandrowski: Słoma	13
— Mogiły	17
Stanisław Długosz: Swojków	19
Józef Mączka: Starym szlakiem	21
— Ranny	22
— Krwawy spadek	23
Eugeniusz Małaczewski: Mogiłom Archangielskim i Murmańskim	24
Józef Aleksander Gałuszka: Szarża ułańska	26

Część druga

Bolesław Leśmian: Zamyślenie	31
— Topielec	32
— Dąb	32
— Szewczyk	35
— Żołnierz	37
Emil Zegadłowicz: Ballada o powsinodze beskidzkim druciarzu	40
— Dęby pod pełnią	45
Feliks Przysiecki: Pieśń przedwiosenna	48
— Piosenka	49
Julian Tuwim: Nauka	51
— Żydzi	52
— Dwa wiatry	54
— Pieśń o białym domu	55
Kazimierz Wierzyński: Tyle jest we mnie bajecznej pogody	57
— Podróż do Afryki	58
— Dyskobol	61
— Do współczesnych	61
Jan Lechoń: Mochnacki	64
— Piłsudski	67
— * * *	69
Antoni Słonimski: Lewą marsz	70
— Kontrmarsz	71
— Na śmierć Prezydenta Narutowicza	74
— Żołnierz Nieznany	75
Jarosław Iwaszkiewicz: Nasza droga	77
— Piosenka dla zmarłej	78
— Z cyklu: Lato 1932	80
Kazimiera Hłakowiczówna: O polskim żołnierzu	82
— Badye	83
— Mowa posągu	84
Maria Jasnorzewska (Pawlikowska): Morze	87

	Str.
— Barwy narodowe	89
Józef Wittlin: Lament	90
Leonard Podhorski-Okołów: O ty — daleka...	91
Julian Ejsmond: Pochwała starożytności	92
— Parabola o białym orle	93
— Koń i jego rząd	93
— Powszechne rozbrojenie	94

Część trzecia

Jerzy Liebert: Na fujarce	99
— Pasterka	99
— Veni sancte Spiritus	100
— Kołysanka jodłowa	101
Jan Zahradnik: Kolumb na morzu	103
— Nikogo się nie lękam	104
Felicja Kruszevska: Wakacje	106
Jan Brzechwa: Ekspres	109
— Przymierze	111
— Nie jestem z Jego tysiąca	113
Włodzimierz Słobodnik: Praca	115
— Mazowsze	115
— Garnek mleka	116
Stanisław Ryszard Dobrowolski: Z poematu Powrót na Powiśle	118
Stanisław Ciesielczuk: Zwyczajność	123
— Żniwa odchodzą	123
— Dwa ekstremy	124
Marian Piechal: Itaka Conrada	126
— Czas	128
Józef Czechowicz: Piłsudski	130
— Przez Kresy	131
Władysław Sebyła: Sztab	133
— Górnicy	135
— Wiosna	137
Mieczysław Jastrun: Szklane domy	138
— Na sprowadzenie prochów Słowackiego	140
Antoni Madej: Pieśń o Bałtyku	142
Wojciech Bąk: Wskrzęsiciel Łazarza	146
— Aniołowie	147
— Mój Bóg	148
— Wiersz o Polsce	149
Światopełk Karpiński: Gotycki poemat	151
— Czarny maj	153

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA

Od wydawcy	159
Objaśnienia	165
Uzupełnienia	199



Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 41962



BGZs 41962